

MARGINESY



**ISABEL  
ALLENDE**

**Dom duchów**

*La casa de los espíritus*

COPYRIGHT © Isabel Allende, 1982

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Zbigniew Marcin Kowalewski

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2021

Mojej matce, babce i innym niezwykłym kobietom  
występującym w tej opowieści

I.A.

W końcu jak długo żyje człowiek?  
Żyje tysiąc lat czy tylko rok?  
Żyje tydzień czy kilka wieków?  
Na jak długo umiera człowiek?  
Co to znaczy na zawsze?

P A B L O N E R U D A

## PIĘKNA ROSA

„Barrabás przyjechał do nas drogą morską”, zapisała delikatną kaligrafią mała Clara. Już wówczas miała zwyczaj zapisywać rzeczy ważne, później zaś, gdy zaniemówiła, zapisywała również błahostki, nie podejrzewając, że pięćdziesiąt lat później posłużę się jej zeszytami, by przywrócić pamięć o tamtej epoce i przetrwać czasy trwogi, które nadeszły. Barrabása przywieziono w Wielki Czwartek. Siedział we wstrętnej klatce pokryty własnymi ekskrementami i moczem i spoglądał zagubionym wzrokiem nędznego i bezbronnego więźnia, lecz po królewskim sposobie trzymania łba i rozmiarach kości można było się domyślić, że wyrośnie na owego legendarnego giganta, jakim stał się później.

Rankiem tego dnia panowała senna, przypominająca jesień atmosfera, toteż nic nie zwiastowało wydarzeń, które opisała dziewczynka, aby nie poszły w niepamięć; miały one miejsce podczas sumy w kościele Świętego Sebastiana, w której wzięła udział wraz z całą rodziną. Figury świętych przykryto na znak żałoby fioletowymi płachtami, które jak co roku o tej porze dewotki powyciągały z szafy w zakrystii i odkurzyły, i pod żałobnymi prześcieradłami królestwo niebieskie wyglądało jak stos mebli przed przeprowadzką – tego żalostnego efektu nie mogły zrównoważyć ani świece i kadzidło, ani jęki organów. Zamiast pełnokształtnych świętych z identycznymi twarzami cierpiętników, w wyszukanych perukach z włosów zmarłych, rubinach, perłach, szmaragdach z malowanego szkła i strojach florenckiej szlachty, widać było sterczące groźnie ciemne zamazane

syłwetki. Jedynym, któremu żałoba wychodziła na korzyść, był patron kościoła, święty Sebastian, ponieważ podczas Wielkiego Tygodnia oszczędzano wiernym widoku jego nieprzyzwoicie wygiętego ciała, przeszytego pół tuzinem strzał, ociekającego krwią i łzami niczym cierpiący homoseksualista, którego rany, cudownie świeże dzięki pędzlowi ojca Restrepo, budziły w Clarze wstręt.

Był to długi tydzień skruchy i postu: nie grano w karty, nie słuchano muzyki, która mogłaby zachęcać do rozpusty lub sprzyjać zaniechaniu, i na tyle, na ile było to możliwe, okazywano smutek i przestrzegano czystości, choć właśnie w tych dniach diabeł szczególnie natrętnie wodził słabe katolickie ciało na pokuszenie. Post polegał na spożywaniu delikatnych ciastek z ciasta francuskiego, smakowitych duszonych warzyw, puszystych placków kukurydzianych i wielkich serów przywiezionych ze wsi, którymi rodziny upamiętniały Mękę Pańską, wystrzegając się kosztowania nawet najmniejszego kawałka mięsa lub ryby pod groźbą ekskomuniki, przed którą ostrzegał ojciec Restrepo. Nikt nie odważyłby się okazać mu nieposłuszeństwa. Ksiądz był wyposażony w długi oskarżycielski palec, którym publicznie wskazywał grzeszników, i w język wyćwiczony w targaniu uczuciami wiernych.

– Ty złodzieju, który okradłeś Kościół! – krzyczał z ambony, wskazując na młodzieńca usiłującego zasłonić twarz kołnierzem. – Ty bezwstydnico, która prostytuujesz się w dokach! – oskarżał zniechęconą, dręczoną artretyzmem i oddaną Matce Boskiej z Karmelu doinę Ester Truebę, która zaskoczona przecierała oczy, gdyż nawet nie знаła znaczenia tego słowa ani nie wiedziała, gdzie znajdują się doki. – Kajajcie się, grzesznicy, nieczysta padlino, niegodna ofiary Naszego Pana! Poście! Okazujcie skruchę!

Kapłan musiał powściągać gorliwość, z jaką wypełniał swoje powołanie, aby nie okazać otwartego nieposłuszeństwa zwierzchnikom kościelnym, którzy uginając się przed wiatrami modernizmu, byli przeciwni noszeniu włosienicy pokutniczej i biczowaniu się. On sam był zwolennikiem garbowania skóry jako środka walki ze słabościami duszy. Słyszał z rozpasanego krasomówstwa. Najwier-

niejsi chodzili za nim z parafii do parafii i pocili się, słysząc, jak mówi o cierpieniach grzeszników w piekle, ciałach rozszarpywanych przez wymyślne maszyny do tortur, wiecznych ogniach, hakach, które przebijały członki męskie, obrzydliwych gadach wchodzących w otwory kobiece i o wielu innych rodzajach karni, którymi ubarwiał każde kazanie, by siać strach boży. Opisywał nawet najintymniejsze anomalie samego szatana, a wszystko to czynił z akcentem galisyjskim; jego misją kapłana na tym padole było potrząsanie sumieniami zobojętniałych Kreolów.

Severo del Valle był ateistą i masonem, lecz miał ambicje polityczne i nie mógł pozwolić sobie na luksus nieobecności na najbardziej uczęszczanych mszach w niedziele i święta kościelne. Jego żona Nívea wolała porozumiewać się z Bogiem bez pośredników, żywiła głęboką nieufność do osób w sutannach i nudziły ją opisy nieba, czyśćca i piekła, lecz towarzyszyła mężowi powodowanemu parlamentarnymi ambicjami, ponieważ miała nadzieję, że jeśli zasiądzie w Kongresie, ona uzyska dla kobiet prawo głosu, o które walczyła od dziesięciu lat, nie tracąc animuszu mimo wielokrotnego zachodzenia w ciążę. W ten Wielki Czwartek ojciec Restrepo doprowadził słuchaczy swoimi apokaliptycznymi wizjami do granic wytrzymałości i Nívea dostała mdłości. Zastanawiała się, czy znów nie jest w ciąży. Mimo podmywania się octem i gąbką nasączoną żółcią wydała na świat piętnaścioro dzieci, z których żyło jedenaścioro, i miała powody sądzić, że dochowała się już całego potomstwa, ponieważ najmłodsza córka, Clara, miała dziesięć lat. Wyglądało na to, że jej zdumiewająca płodność wytraca wreszcie impet. Skłonna była upatrywać przyczyny złego samopoczucia we fragmencie kazania ojca Restrepo, w którym wskazał na nią, mówiąc o faryzeuszach chcących zalegalizować bękarty i śluby cywilne, doprowadzić do rozkładu rodziny, ojczyzny, własności i Kościoła, przyznać kobietom tę samą pozycję społeczną co mężczyznom i rzucić otwarte wyzwanie prawom boskim, które są w tej dziedzinie bardzo precyzyjne. Nívea i Severo zajmowali wraz z dziećmi cały trzeci rząd ławek. Clara siedziała obok matki, która z niecierpliwością ścisłała jej rękę, ilekroć ksiądz

rozwoził się zbyt nad grzechami cielesnymi, ponieważ wiedziała, że pod wpływem jego wywodów mała skłonna jest tworzyć w swojej wyobraźni obrazy nawet najbardziej nieprawdopodobnych zbroczeń, o czym świadczyły pytania, które zadawała i na które nikt nie umiał odpowiedzieć. Clara była przedwcześnie dojrzała i miała bujną wyobraźnię, którą wszystkie kobiety w rodzinie dziedziczyły po matkach. W kościele podniosła się temperatura i przenikliwy zapach świec, kadzidła i zbitego tłumu potęgował nudności. Nívea pragnęła, by uroczystość skończyła się wreszcie i by mogła wrócić do chłodnego domu, usiąść w korytarzu między paprociami i delektować się popijaną z dzbana orszadą, którą Nana przygotowywała w dni świąteczne. Przyjrzała się dzieciom; najmłodsze były zmęczone, sztywne w niedzielnych strojach, a uwaga starszych zaczynała się rozpraszać. Jej wzrok padł na Rosę, najstarszą z żyjących córek, i jak zwykle doznała uczucia zaskoczenia. Dziwna uroda Rosy miała w sobie coś niepokojącego, przed czym nawet ona nie mogła uciec; wydawała się ulepiona z innej niż rasa ludzka gliny. Nim Rosa przyszła na świat, Nívea wiedziała, że będzie to dziecko nie z tego świata, bo widywała je w snach, toteż nie zdziwiła się, gdy położna krzyknęła z wrażenia na widok noworodka. Rosa urodziła się biała, gładka, bez zmarszczek, jak fajansowa lalka, z zielonymi włosami i żółtymi oczyma i – jak powiedziała położna, żegnając się znakiem krzyża – była najcudowniejszym stworzeniem, jakie pojawiło się na ziemi od czasów grzechu pierworodnego. Od pierwszej kąpieli Nana myła jej włosy wywarem z rumianku, co złagodziło ich barwę, nadając im odcień starego brązu, i kładła nagą na słońcu, aby wzmocnić skórę, która w najbardziej delikatnych okolicach brzucha i pod pachami była niemal przezroczysta, tak że widać było żyły i ukrytą tkankę mięśniową. Okazało się jednak, że te cygańskie wybiegi nie wystarczą, i szybko rozeszła się pogłoska, że oto urodził się anioł. Nívea miała nadzieję, że niewdzięczny okres dorastania przysporzy córce pewnych niedoskonałości, lecz nic takiego nie nastąpiło – przeciwnie, osiemnastoletnia Rosa nie przytyła i nie dostała pryszczki na twarzy, przybyło jej natomiast morskiego wdzięku. Miękki lazurowy połysk skóry,



kolor włosów, powolność ruchów, ciche usposobienie przypominały mieszkańca wód. Było w niej coś z ryby i gdyby miała ogon pokryty łuską, byłaby w sposób oczywisty syreną, lecz fakt, że była dwunożna, sytuował ją na niewyraźnej granicy między postacią ludzką a mitologiczną. Mimo wszystko wiodła niemal normalny tryb życia, miała narzeczonego i należało się spodziewać, że pewnego dnia wyjdzie za mąż, a wówczas odpowiedzialność za jej urodę przejdzie w inne ręce. Rosa pochyliła głowę i promień słońca, który przeniknął przez gotyckie witraże kościoła, nadał jej profilowi świetlną obwódkę. Niektórzy z obecnych obejrzeliby się i zaczęli szeptać między sobą, co zdarzało się często, gdy mijali Rosę, lecz ta zdawała się niczego nie dostrzegać; była odporna na próżność i tego dnia bardziej nieobecna duchem niż zwykle, gdyż wyobrażała sobie nowe gatunki bestii, które miała zamiar wyszyc na obrusie – pół ptaki i pół ssaki pokryte piórami w kolorach tęczy, wyposażone w rogi i kopyta, stworzenia tak grube i o tak krótkich skrzydłach, że rzuciłyby wyzwanie prawom biologii i aerodynamiki. Rzadko myślała o narzeczonemu, Estebanie Truebie, nie dlatego, że go nie kochała, lecz dlatego, że była zapominalska, oraz z powodu długiej rozłąki, która trwała już dwa lata. Esteban pracował w kopalniach na północy kraju. Pisywał do niej systematycznie i od czasu do czasu Rosa odpowiadała mu na listy, wysyłając przepisane wiersze i rysunki kwiatów malowanych tuszem na pergaminie. Z owej korespondencji, której tajemnicę Nívea gwałciła regularnie, Rosa dowiedziała się, jak bardzo ryzykowny jest zawód górnika, nieustannie narażonego na zasypanie, uganianego się za nieuchwytnymi złożami kruszcu, zabiegającego o kredyty na konto szczęśliwego zbiegu okoliczności, ufne go, że pojawi się cudowna złota żyła, która szybko pozwoli mu zbić fortunę i powrócić, a wtedy – jak pisał zawsze na końcu listów – będzie mógł zaprowadzić Rosę do ołtarza i stanie się najszczęśliwszym człowiekiem we wszechświecie. Lecz Rosie nie spieszyło się do zamążpójścia i prawie zapomniała o jedynym pocałunku, jaki wymienili na pożegnanie; nie pamiętała też koloru oczu upartego narzeczonego. Pod wpływem romantycznych powieści, które stanowiły jej jedyną lek-

turę, lubiła wyobrażać go sobie w butach z cholewami, osmalonego pustynnym wiatrem, ryjącego ziemię w poszukiwaniu skarbów piratów lub zakopanych dublonów hiszpańskich i klejnotów inkaskich i nie odnosiły skutku żadne wyjaśnienia Nívei, która starała się ją przekonać, że bogactwo kopalń tkwi w kamieniach, bo Rosie wydawało się rzeczą niemożliwą, żeby Esteban zbierał tony skał w nadziei, iż poddane niegodziwym procesom krematoryjnym wyplują gram złota. Tymczasem czekała na niego, nie nudząc się, niewzruszona w obliczu ogromnego zadania, które sobie postawiła: wyhaftowania największego na świecie obrusa. Zaczęła od psów, kotów i motyli, lecz szybko jej dziełem zawładnęła fantazja i stopniowo pojawiał się raj, w którym żyły nieprawdopodobne bestie, rodzące się pod jej igłą na oczach zatroskanego ojca. Severo uważał, że już czas, aby córka przebudziła się z letargu i zaczęła chodzić po ziemi, nauczyła się wykonywania niektórych czynności domowych i przysposobiła się do małżeństwa, ale Nívea nie podzielała jego niepokoju. Wolała nie zakłócać spokoju córki przyziemnymi wymaganiami, bo czuła, że Rosa jest istotą niebiańską, której nie jest pisane wytrwać długo w prostackim ruchu tego świata, i dlatego pozostawiała ją w spokoju wśród kłębków nici i nie miała zastrzeżeń do koszmarów ogrodu zoologicznego, który haftowała.

W gorsecie Nívei złamał się fiszbin i jego szpic wbił się jej między żebra. Czuła, że dusi się w sukni z niebieskiego aksamitu, że koronkowy kołnierz jest za wysoki, rękawy za wąskie, talia tak bardzo dopasowana, że gdy rozwiązywała pas, przez pół godziny, dopóki wnętrzości nie wróciły do normalnego położenia, cierpiała na kolękę. Często dyskutowała o tym z przyjaciółkami sufrażystkami i razem doszły do wniosku, że dopóki kobiety nie obetną spódnic i włósov i nie zrzucą halek, dopóty nie będzie miało znaczenia, czy mogą studiować medycynę i głosować, bo nie będą do tego zdolne, lecz sama nie miała odwagi zrezygnować jako jedna z pierwszych z poddawania się wymogom mody. Zauważyła, że galisyjski głos przestał kuć młotem jej mózg. W kazaniu nastąpiła bowiem jedna z długich pauz, które ksiądz czynił często, świadomy efektu niezręcznej ciszy.

W takich chwilach jego płonący wzrok przesuwiał się po kolei po twarzach wszystkich parafian. Nívea wypuściła dłoń Clary i odszukała w rękawie chusteczkę, którą starła kroplę potu płynącą po szyi. Cisza stała się gęsta, czas jakby się zatrzymał, ale nikt nie odważył się kaszlnąć lub zmienić pozycji w obawie, że zwróci na siebie uwagę ojca Restrepo. Ostatnie słowa jego kazania odbijały się jeszcze echem między kolumnami.

Jak wspominała po latach Nívea, w tej właśnie chwili, pośród trwogi i ciszy, dał się słyszeć bardzo wyraźnie głos małej Clary:

– Pst! Ojciec Restrepo! Gdyby bajka o piekle okazała się zwykłym kłamstwem, to dopiero wszyscy spieprzylibyśmy sprawę...

Palec wskazujący, który był już wzniesiony w górę i miał grozić nowymi kaźniami, zawisł jak parasol nad głową jezuitę. Ludzie przestali oddychać, a ci, co drzemali, ocknęli się. Małżonkowie del Valle zareagowali jako pierwsi, czując, że ogarnia ich panika, i widząc, że ich dzieci zaczynają wiercić się nerwowo. Severo zrozumiał, że powinien coś uczynić, nim wybuchnie zbiorowy śmiech lub dojdzie do jakiegoś niebiańskiego kataklizmu. Chwyił żonę pod ramię, a Clarę za kołnierz i długimi krokami wypadł z kościoła, ciągnąc je za sobą; za nim podążyły pozostałe dzieci, które kupą rzuciły się ku drzwiom. Wyszli, nim ksiądz zdążył przywołać grom, który miał ich zamienić w słupy soli, lecz i tak za progiem usłyszeli jego straszny głos urażonego archanioła:

– Opętana przez diabła! Grzesząca pychą i opętana!

Słowa ojca Restrepo utkwiły rodzinie w pamięci jak groźna diagnoza i w ciągu następnych lat często je wspomniano. Jedyną osobą, która nigdy o nich nie myślała, była sama Clara – odnotowała je w dzienniku, a potem puściła w niepamięć. Natomiast rodzice nie mogli ich zapomnieć, choć byli zgodni co do tego, że opętanie przez diabła i pycha to zbyt ciężkie grzechy jak na tak małą dziewczynkę. Bali się ludzkich złorzeczeń i fanatyzmu ojca Restrepo. Dotąd nie nadawali nazwy dziwactwom najmłodszej córki ani nie kojarzyli ich z wpływami szatańskimi. Brali je za cechę osobowości dziewczynki na takiej samej zasadzie, na jakiej utykanie uważali za cechę Luisa,

a urodę za cechę Rosy. Siła zmysłów Clary nikomu nie przeskadała i nie powodowała poważniejszych problemów; przejawiała się prawie zawsze w mało ważnych dziedzinach i ujawniała wyłącznie w czterech ścianach domu rodzinnego. Czasami, w porze posiłku, gdy wszyscy siedzieli w wielkiej jadalni – każdy w miejscu ściśle określonym według kryteriów godności i władzy – nagle zaczynała wibrować solniczka i przesuwiała się między kielichami i talerzami bez udziału jakichkolwiek znanych źródeł energii czy sztuczek iluzjonistów. Nívea szarpała wówczas Clarę za warkocz i w ten sposób sprawiała, że córka porzucała lunatyczne roztargnienie i przywracała normalne położenie solniczce, która nieruchomiała w jednej chwili. Gdy mieli gości, bracia zorganizowali się tak, że ten, który siedział najbliżej, uderzał dłonią w przedmiot poruszający się na stole, nim goście zdążyli zauważyć, co się dzieje, i poderwać się z wrażenia. Rodzina spożywała posiłek bez komentarzy. Przyzwyczajono się również do przepowiedni najmłodszej siostry. Z pewnym wyprzedzeniem ogłaszała trzęsienia ziemi, co było bardzo wygodne w tym kraju katastrof, bo pozwalało zabezpieczyć na czas serwis stołowy i trzymać w zasięgu ręki kapcie, w których nocą wybiegało się z domu. W wieku sześciu lat Clara przepowiedziała, że koń wyrzuci Luisa z siodła, ale ten nie chciał jej słuchać i w rezultacie miał zwichnięte biodro. Z biegiem czasu jego lewa noga stała się krótsza i musiał nosić specjalny but na grubej podeszwie, który sam sobie fabrykował. Tym razem Níveę ogarnął niepokój, lecz Nana uspokoiła ją, mówiąc, że wiele dzieci lata jak muchy, tłumaczy sny i rozmawia z duchami, ale wszystkim to mija, gdy tracą niewinność.

– Niech pani poczeka, aż dziecko dorosnie – wyjaśniła. – Gdy tylko dostanie demonstracji, minie jej skłonność do poruszania mebli i przepowiadania nieszczęść.

Clara była ulubienicą Nany. Nana pomogła jej się urodzić i jako jedyna rozumiała naprawdę cudaczną naturę dziewczynki. Gdy Clara wyszła z brzucha matki, Nana ukołysała ją, umyła i odtąd kochała rozpaczliwie tę kruchą istotę z zaflegmionymi płucami, która w każdej chwili mogła stracić oddech i zsinieć i którą, gdy brakowało jej

powietrza, musiała wielokrotnie ożywiać ciepłem swoich wielkich piersi, ponieważ wiedziała, że jest to jedyne lekarstwo na astmę – o wiele skuteczniejsze od alkoholizowanych syropów doktora Cuevasa.

W ten Wielki Czwartek Severo przechadzał się po salonie zatroskany z powodu skandalu, który córka wywołała podczas sumy. Argumentował, że w XX wieku – wieku oświecenia, nauki i techniki, w którym pojęcie diabła zostało ostatecznie zdyskredytowane – tylko taki fanatyk jak ojciec Restrepo może wierzyć w opętanie. Nívea przerwała mu, mówiąc, że nie o to chodzi. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że jeśli wieść o wyczynach córki się rozejdzie, a ksiądz zacznie badać sprawę, to wszyscy będą o tym rozprawiać.

– Ludzie zaczną przychodzić i oglądać ją jak jakieś dziwadło – rzekła Nívea.

– A partia liberalna pójdzie w cholerę – dodał Severo, który rozumiał, jaką szkodę może wyrządzić jego karierze politycznej to, że ma w swojej rodzinie osobę zaczarowaną.

Rozmawiali o tym, gdy weszła Nana, szurając espadrylami i szeliszcząc nakrochmalonymi halkami, i zawiadomiła, że na patio jest kilku mężczyzn, którzy wyładowują nieboszczyka. Tak było naprawdę. Wjechali wozem zaprzężonym w cztery konie, zajęli całe pierwsze patio, rozjechali kamelie i zapaprali końskimi odchodami lśniący bruk, po czym zatrzymali się w obłoku kurzu, wśród stukotu kopyt koni przebierających przednimi nogami i złorzeczeń przesądnych mężczyzn, którzy wymachiwali rękami, usiłując odpędzić czary. Przywieźli zwłoki wuja Marcosa z całym jego ekwipunkiem. W zgiełku wodził rej słodki jak miód człowieczek w czarnym surducie i za dużym kapeluszu; zaczął wygłaszać uroczystą mowę, by wyjaśnić okoliczności zgonu, ale Nívea przerwała mu brutalnie, rzucając się na zakurzoną trumnę, w której spoczywały szczątki jej najukochańszego brata. Nívea krzyczała, że mają otworzyć wieko, bo chce go zobaczyć na własne oczy. Już raz zdarzyło się jej pochować go, toteż wątpiła, czy i tym razem jego śmierć jest ostateczna. Krzyki Nívei ściągnęły całą liczną służbę domową i wszystkie dzieci, które przybiegły, słysząc pośród żałobnych lamentów imię wuja.

Clara nie widziała wuja Marcosa od kilku lat, ale pamiętała go bardzo dobrze. Był to jedyny całkowicie wyraźny obraz z jej dzieciństwa i dla przywołania go nie musiała zerkać na wiszący w salonie dagerotyp, na którym widniał w stroju podróżnika; podpierał się dubeltówką starego typu i trzymał prawą nogę na szyi malajskiego tygrysa; miał postawę równie tryumfalną jak ta, którą zauważyła u Matki Boskiej z głównego ołtarza, depczącej pokonanego diabła wśród gipsowych chmur i bladych aniołów. Wystarczyło, że Clara zamknęła oczy, a już widziała wuja w całej okazałości, zahartowanego w najsurowszych klimatach kuli ziemskiej, chudego, z wąsami flibustiera, między którymi w dziwnym uśmiechu błyszcząły zęby jak u rekina. Wydawało się niemożliwe, żeby spoczywał teraz w czarnej skrzyni stojącej pośrodku patio.

Każde odwiedziny Marcosa u jego siostry Nívei trwały kilka miesięcy, co wywoływało radość siostrzeńców, a w szczególności Clary, oraz burzę, w której zamazywały się horyzonty domowego ładu. Dom wypełniał się kuframi, zabalsamowanymi zwierzętami, strzałami indiańskimi, torbami marynarskimi. Co krok potracano jakieś dziwaczne graty, zewsząd wylażyły niesamowite robaki, które przywieziono tu z odległych lądów i które kończyły żywot bezlitośnie rozgniatane w każdym zakątku domu szczotką Nany. Jak mawiał Severo, wuj Marcos miał manieri ludożercy. Noce spędzał w salonie, wykonując niezrozumiałe ruchy, które – jak się później okazało – były ćwiczeniami doskonalącymi kontrolę umysłu nad ciałem i poprawiały trawienie. W kuchni robił doświadczenia z alchemii, wypełniając cały dom obłokami cuchnących dymów, i psuł garnki substancjami trwałymi, których nie można było oderwać od dna. Podczas gdy inni usiłowali spać, on przeciągał walizy po korytarzach, ćwiczył ostre dźwięki na barbarzyńskich instrumentach i uczył mówić po hiszpańsku papugę, której język ojczysty pochodził znad Amazonki. W ciągu dnia spał na hamaku rozwieszonym w korytarzu między dwiema kolumnami, nie mając na sobie nic prócz opaski na biodrach, co wprawiało Severa w zły humor, lecz Nívea usprawiedliwiała Marcosa, który przekonał ją, że w takim samym

stroju nauczał Nazarejczyk. Clara, choć była wtedy bardzo mała, pamiętała doskonale, jak wuj Marcos po raz pierwszy przyjechał do nich po powrocie z jednej ze swoich licznych podróży. Rozgościł się tak, jakby miał zamiar zamieszkać na stałe. Po krótkim czasie znudzony uczestniczeniem w panieńskich wieczorkach, na których pani domu grała na pianinie, grą w karty i ponagleniami ze strony wszystkich krewnych, żeby się ustatkował i podjął pracę aplikanta w kancelarii adwokackiej Severa del Valle, kupił sobie katarynkę i zaczął chodzić z nią po ulicach z zamiarem uwiedzenia kuzynki Antoniety, a przy okazji zabawiał publiczność muzyką na korbkę. Maszyna była tylko brudną skrzynią na kółkach, ale namalował na niej motywy marynarskie i doprawił imitację komina okrętowego. W rezultacie wyglądała na kuchnię opalaną węglem. Na katarynce grywał na przemian marsza wojskowego i walca, a między jednym a drugim obrotem korbki papuga, która nauczyła się hiszpańskiego, choć miała w dalszym ciągu obcy akcent, przyciągała publiczność ostrymi wrzaskami. Z pudełka wyciągała dziobem losy, które on sprzedawał gapiom. Różowe, zielone i niebieskie karteczki były tak pomysłowe, że zawsze trafiały w najskrytsze życzenia klienta. Poza losami handlował piłeczkami z trocin, które służyły dzieciom do zabawy, i proszkami przeciwdziałającymi impotencji, które sprzedawał, porozumiewając się półgłosem z przechodniami cierpiącymi na tę dolegliwość. Katarynka była ostatnią, rozpaczliwą próbą zwrócenia na siebie uwagi kuzynki Antoniety po fasku innych, bardziej konwencjonalnych sposobów zabiegania o jej względy. Uważał, że żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie może pozostać obojętna na serenadę z katarynki. Wziął się więc do dzieła. O zmierzchu stanął pod jej oknem i w chwili gdy piła z przyjaciółkami herbatę, zagrał marsza wojskowego i walca. Antonieta udawała, że nie wie, iż to koncert na jej cześć, dopóki papuga nie zaczęła wywoływać jej po imieniu, i wtedy wychyliła się przez okno. Jej reakcja nie była zgodna z oczekiwaniami zakochanego w niej mężczyzny. Przyjaciółki rozpuściły wieść po wszystkich salonach w mieście i następnego dnia ludzie zaczęli spacerować śródmiejskimi ulicami w nadziei, że ujrzą

szwagra Severa del Valle grającego na katarynce i sprzedającego piłęczki z trocin w towarzystwie zjedzonej przez mole papugi i będą mieli przyjemność przekonać się na własne oczy, że nawet w najlepszych rodzinach jest czego się wstydzić. W obliczu hańby domowej Marcos musiał zrezygnować z katarynki i wybrać mniej rzucające się w oczy metody oczarowania kuzynki Antoniety, lecz nie przestał jej nękać. Mimo wszystko nie miał w końcu szczęścia, bo dziewczyna wyszła z dnia na dzień za dyplomatę, starszego od niej o dwadzieścia lat, a ten zabrał ją do jakiegoś tropikalnego kraju, którego nazwy nikt nie mógł zapamiętać, ale która kojarzyła się z czarnym kolorem skóry, bananami i palmami; uwolniła się tam od wspomnień o pretencie, który swoim marszem wojskowym i walcem zrujnował jej życie, gdy miała siedemnaście lat. Marcos popadł na dwa czy trzy dni w depresję, po czym oświadczył, że nigdy się nie ożeni i wybiera się w podróż dookoła świata. Katarynkę sprzedał jakiemuś ślepcowi, a papugę zostawił w spadku Clarze, ale Nana otruła ją dużą dawką tranu, bo nie mogła znieść jej lubieżnego spojrzenia, pcheł oraz przeraźliwych wrzasków, którymi zachwalała losy, piłęczki z trocin i proszki na impotencję.

Była to najdłuższa podróż Marcosa. Wrócił z niej z ładunkiem ogromnych skrzyń, które do końca zimy zalegały na ostatnim patio, między kurnikiem a składem drewna. Wiosną przeniósł skrzynie do parku Defilad, gdzie podczas świąt narodowych na rozległej przestrzeni gromadził się lud, obserwując, jak wojsko maszeruje krokiem przejętym od Prusaków. Gdy otwarto skrzynie, okazało się, że są w nich drewniane i metalowe części oraz płachty malowanej tkaniny. Marcos montował to wszystko przez dwa tygodnie, zgodnie z instrukcjami zawartymi w podręczniku w języku angielskim, którego treść odszyfrowywał za pomocą swojej niezmożonej wyobraźni i słowniczka. Rezultatem tej pracy był ptak o rozmiarach prehistorycznych, który sprawiał wrażenie jakiegoś niesamowitego orła, był pomalowany z przodu i miał ruchome skrzydła, a na grzbiecie śmigło. Stwór ten wywołał poruszenie. Rodziny należące do oligarchii zapomniały o aferze z katarynką i Marcos stał się bohaterem sezono-



wych sensacji. Ludzie chodzili oglądać ptaka podczas niedzielnych spacerów, a sprzedawcy rozmaitych drobiazgów i wędrowni fotografowie robili wokół dobre interesy. Lecz wkrótce zainteresowanie publiczności zaczęło spadać. Wtedy Marcos ogłosił, że jak tylko się rozchmurzy, ma zamiar wznieść się na ptaku w powietrze i przelecieć nad górami. Wieść rozeszła się w ciągu paru godzin: było to najbardziej komentowane wydarzenie roku. Maszyna, ciężka i niezgrabna, leżała na brzuchu i bardziej przypominała rannego kaczora niż jeden z tych nowoczesnych aeroplanów, które zaczynano produkować w Ameryce Północnej. Nic w jej wyglądzie nie pozwalało mniemać, że może się poruszać, a już tym bardziej wzbić się w powietrze i przelecieć nad zaśnieżonymi górami. Dziennikarze i gapie stawili się tłumnie. Marcos uśmiechał się niezmiennie w odpowiedzi na lawinę pytań i pozował fotografom, nie udzielając żadnych wyjaśnień technicznych czy naukowych na temat tego, jak zamierza zrealizować swoje przedsięwzięcie. Aby obejrzeć widowisko, przyjeżdżano nawet z prowincji. W czterdzieści lat później Nicolás, syn jego siostrzenicy Clary, którego Marcos nie zdążył poznać, odgrzebał pomysł lotu, zawsze korcący mężczyzn jego pokroju. Nicolás miał zamiar uczynić to w celach komercyjnych, wznosząc się w ogromnej parówce wypełnionej gorącym powietrzem, na której wydrukowana była reklama napojów gazowanych. Jednakże w czasach, gdy Marcos zapowiedział swój lot aeroplanem, nikomu nie przychodziło do głowy, że taki pomysł może służyć jakimś celom utylitarnym. On robił to z zamiłowania do przygód. Dzień był pochmurny, ale Marcos rozbudził tak wielkie oczekiwania, że nie chciał odkładać lotu. Stawił się punktualnie i nawet nie rzucił okiem na niebo, które pokrywało się ciężkimi szarymi chmurami. Osłupiały tłum wypełnił wszystkie przyległe ulice, wspinało się na dachy i tłoczno było na balkonach okolicznych domów i w parku. Żadna impreza polityczna nie zgromadziła tylu ludzi, dopóki pół wieku później pierwszy kandydat marksistowski nie postanowił zabiegać w sposób całkowicie demokratyczny o fotel prezydencki. Clara zapamiętała ten świąteczny dzień na całe życie. Ludzie poubierali się wiosennie, wyprzedzając nieco

oficjalną inaugurację sezonu, mężczyźni byli w białych lnianych garniturach, a damy miały kapelusze z włoskiej słomki, które tego roku robiły furorę. Przedefilowały z nauczycielami grupy uczniów, którzy wręczali bohaterowi kwiaty. Marcos przyjmował je, mówiąc żartem, żeby poczekali, aż się rozbije, i zanieśli mu te kwiaty na cmentarz. Zjawił się we własnej osobie biskup z dwoma ministrantami, choć nikt go o to nie prosił, i poświęcił ptaka, a orkiestra żandarmerii zagrała wesoło i bezpretensjonalnie w ludowym guście. Policja, na koniach i z lancami, miała trudności z utrzymaniem tłumu z dala od centrum parku, gdzie Marcos paradował w kombinezonie mechanika, wielkich okularach automobilisty i tropikalnym kasku. W podróż zabierał busołę, lunetę i dziwne mapy nawigacji powietrznej, które sam sporządził, opierając się na teoriach Leonarda da Vinci i wiedzy astralnej Inków. Wbrew wszelkiej logice już przy drugiej próbie ptak uniósł się bez trudu, a nawet z pewną elegancją, pośród zgrzytów szkieletu i rżenia silnika. Odleciał, machając skrzydłami, i znikł w chmurach żegnany oklaskami, gwizdami, chusteczkami, flagami, biciem w bębny i wodą święconą. Na ziemi pozostały komentarze oczarowanego tłumu i ludzi bardziej wykształconych, którzy usiłowali wyjaśnić cud w sposób racjonalny. Clara długo wpatrywała się w niebo, gdy straciła wuju z oczu. Dziesięć minut później wydało się jej, że widzi go znowu, ale to tylko przeleciał wróbel. Po trzech dniach minęła euforia wywołana przez pierwszy w tym kraju lot aeroplanem i nikt już nie wspominał o wydarzeniu, z wyjątkiem Clary, która niestrudzenie wpatrywała się w niebo.

Po tygodniu, gdy nadal nie było wieści o latającym wuju, powstało przypuszczenie, że wzniósł się za wysoko i zaginął w przestrzeni międzygwiazdnej, a najwięksi ignoranci spekulowali, że może poleciał na Księżyc. Severo, targany mieszanymi uczuciami smutku i ulgi, orzekł, że szwagier spadł wraz ze swoją maszyną gdzieś w górach, gdzie nikt go nigdy nie odnajdzie. Nívea płakała niepokieszona i zapaliła kilka świec świętemu Antoniemu, patronowi rzeczy zaginionych. Severo sprzeciwił się pomysłowi zamówienia mszy, ponieważ nie wierzył, że można w ten sposób osiągnąć niebo, a już

tym bardziej sprowadzić kogoś na ziemię, i utrzymywał, że msze i darowizny, podobnie jak odpusty oraz handel obrazkami świętymi i szkaplerzykami, stanowią nieuczciwy interes. W tej sytuacji Nívea i Nana poleciły wszystkim dzieciom przez dziewięć dni odmawiać po kryjomu różaniec. Tymczasem ochotnicze grupy poszukiwaczy i andynistów szukały go niestrudzenie w górach, na szczytach i w wąwozach, badały po kolei wszystkie dostępne rozpadliny, aż w końcu wróciły w tryumfalnym nastroju i przekazały rodzinie szczątki w czarnej skromnej trumnie, która była zapieczętowana. Nieustraszonemu podróżnikowi urządzono wielki pogrzeb. Śmierć uczyniła z niego bohatera i jego nazwisko było przez kilka dni na pierwszych stronach wszystkich gazet. Ten sam tłum, który zgromadził się, by go pożegnać w dniu odlotu, przedefilował teraz przed jego trumną. Cała rodzina płakała, jak należało, z wyjątkiem Clary, która z cierpliwością astronoma wpatrywała się nadal w niebo. Tydzień po pogrzebie w drzwiach domu Nívei i Severa del Valle stanął we własnej osobie wuj Marcos, uśmiechając się wesoło pod wąsem pirata. Jak sam przyznał, przeżył – i pozostał przy zdrowych zmysłach, a nawet zachował dobry humor – dzięki potajemnemu odmawianiu różańca przez kobiety i dzieci. Mimo szlachetnego pochodzenia map powietrznych lot zakończył się fiaskiem, Marcos stracił aeroplan i musiał wracać pieszo, ale wszystkie kości miał całe, a ducha przygody zachował. Utrwaliło to na zawsze uwielbienie rodziny dla świętego Antoniego i nie posłużyło za przestrożę przyszłym pokoleniom, które również usiłowały latać różnymi maszynami. Z prawnego punktu widzenia Marcos był jednak trupem. Severo del Valle musiał wykorzystać całą swoją wiedzę prawniczą, aby przywrócić szwagrowi kondycję człowieka żywego i obywatela. Gdy w obecności odpowiednich władz otwarto trumnę, okazało się, że leży w niej worek z piaskiem. Nadszarpnęło to dotychczas nieskazitelną opinię poszukiwaczy i andynistów: odtąd uważano ich niemal za złoczyńców.

Heroiczne zmartwychwstanie Marcosa sprawiło, że puszczono ostatecznie w niepamięć aferę z katarynką. Znow zapraszano go do wszystkich salonów w mieście i przynajmniej przez jakiś czas jego

imię brzmiało godnie. Marcos mieszkał przez parę miesięcy u siostry. Pewnej nocy odjechał, nie pożegnawszy się z nikim i pozostawiając kufry, książki, broń, buty i manatki. Severo, a nawet sama Nívea odetchnęły z ulgą. Jego ostatnia wizyta trwała zbyt długo. Natomiast Clara była tak wstrząśnięta, że przez cały tydzień chodziła jak lunatyczka i ssała palec. Dziewczynka miała wtedy siedem lat; nauczyła się już czytać książki wuja i przywiązała się doń bardziej niż ktokolwiek w rodzinie, a to ze względu na swój dar przewidywania. Marcos twierdził, że rzadka zaleta siostrzenicy może być źródłem dochodów i dobrą okazją, by rozwinąć własne zdolności wróżbiarskie. Miał teorię, że właściwości te posiadają wszystkie istoty ludzkie, a w szczególności członkowie jego rodziny, i że jeśli ktoś ich nie wykazuje, to tylko z powodu braku treningu. Kupił na bazarze szklaną kulę, która według niego miała właściwości magiczne i pochodziła ze Wschodu, lecz później okazało się, że był to tylko pływak z łodzi rybackiej, położył ją na kawałku czarnego aksamitu i ogłosił, że może w niej widzieć przeznaczenie, leczyć z uroków, czytać przeszłość i poprawiać jakość snów, wszystko za pięć centów. Jego pierwszymi klientkami były służące z sąsiedztwa. Jedną z nich oskarżono o kradzież, ponieważ jej pani zgubiła pierścionek. Szklana kula wskazała, gdzie znajdował się klejnot: spadł pod bieliźniarkę. Następnego dnia pod drzwiami stała kolejka. Przyszli woźnice, handlarze, mleczarze i woziwody, a następnie zjawili się dyskretnie niektórzy urzędnicy gminni i dystyngowane panie, które przeslizgiwały się pod ścianami, nie chcąc, by je rozpoznano. Klientelę przyjmowała Nana, która ustawiała ludzi w kolejce w przedpokoju i pobierała honoraria. Zajęcie to absorbowало ją niemal przez cały dzień – do tego stopnia, że zaniedbała pracę w kuchni i rodzina zaczęła się skarżyć, że na kolacje dostaje tylko starą fasolę amerykańską i konfitury z pigwy. Marcos przysposobił wozownię, gdzie pozakładał zasłony, które kiedyś wisiały w salonie, ale porzucone i stare zamieniły się w zakurzone szmaty. Tam razem z Clarą przyjmował klientów. Dwójka jasnowidzów nosiła tuniki „o barwie ludzi światła”, jak Marcos nazywał kolor żółty. Nana ufarbowała je szafranem

w garnku, w którym gotowano potrawę z kurzej piersi, cukru, mleka i mąki ryżowej. Ponadto Marcos nosił na głowie turban, a na szyi egipski amulet. Zapuścił brodę i włosy i był chudszy niż kiedykolwiek. Marcos i Clara byli bardzo przekonujący, zwłaszcza że dziewczynka nie musiała patrzeć w szklaną kulę, żeby przepowiedzieć to, co każdy chciał usłyszeć. Przepowiednię szeptała na ucho wujowi Marcosowi, ten zaś przekazywał ją klientowi i improwizował rady, które wydawały mu się stosowne na daną okoliczność. Rozeszła się o nich fama, ponieważ ci, którzy przychodzili do poradni przygnębieni i smutni, wychodzili pełni nadziei, zakochani bez wzajemności uzyskiwali wskazówki, jak usidlić nieczułe serce, a biedni – wiedzę o skutecznych fortelach, które pozwalały im wygrywać zakłady na wyścigach psów. Interes tak dobrze prosperował, że przedpokój był zawsze pełen ludzi, a Nana zaczęła dostawać zawrotów głowy od zbyt długiego stania. Tym razem Severo nie musiał interweniować, by położyć kres przedsiębiorczości szwagra, ponieważ dwójka jasnowidzów uświadomiła sobie, że przepowiednie mogą zmienić losy klientów, którzy rozumieli je zbyt dosłownie; Marcos i Clara przestraszyli się i doszli do wniosku, że jest to profesja godna oszustów. Przestali bawić się w wyrocznie z wozowni i podzielili się po równo zyskami, choć w rzeczywistości jedyną osobą zainteresowaną materialną stroną biznesu była Nana.

Spośród całego rodzeństwa del Valle Clara najwytrwalej i z największym zainteresowaniem słuchała opowieści wuja. Mogła każdą z nich powtórzyć, znała na pamięć różne słowa w dialektach Indian z innych krajów i ich obyczaje, potrafiła opowiedzieć, w jaki sposób przebijają sobie wargi i uszy kawałkami drewna, a także opisać obrzędy inicjacyjne oraz podać nazwy najbardziej jadowitych węży i antidotów przeciwko ich ukąszeniom. Wuj był tak elokwentny, że dziewczynka czuła na własnej skórze palące ukąszenia żmij, widziała gada ślizgającego się po dywanie między nogami palisandrowego stojaka z kwiatami i słyszała krzyki papug ara między kotarami w salonie. Przypominała sobie bez wahania trasę, którą przebył Lope de Aguirre, szukając Eldorado, znała niedające się wymówić

nazwy rozmaitych okazów flory i fauny, które poznał lub wymyślił cudowny wuj, wiedziała o lamach, którzy piją słoną herbatę z łożem jaków, i mogła szczegółowo opisać obfite kształty kobiet z Polinezji, ryżowiska w Chinach lub białe równiny w krajach na dalekiej Północy, gdzie wieczne mrozy zabijają zwierzęta i zablakanych ludzi, zamieniając ich w ciągu paru minut w sople lodu. Marcos miał kilka dzienników ze swoich podróży, kolekcję map oraz baśnie i powieści przygodowe, które trzymał w kufrach w graciarni, w głębi trzeciego patio. Wszystko to krążyło po domu i zaludniało swoimi treściami marzenia potomków, dopóki w pół wieku później nie zostało spalone przez pomyłkę na haniebnym stosie.

Z ostatniej podróży Marcos wrócił w trumnie. Zmarł na skutek tajemniczej zarazy afrykańskiej, od której pokrył się zmarszczkami i zżółkł jak pergamin. Gdy się rozchorował, podjął podróż powrotną z nadzieją, że opieka siostry i wiedza doktora Cuevasa przywrócą mu zdrowie i młodość, lecz nie wytrzymał sześćdziesięciu dni na statku: zmorzony gorączką i mającąc o kobietach perfumowanych piżmem i o ukrytych skarbach, zmarł, gdy mijali Guayaquil. Kapitan statku, Anglik nazwiskiem Longfellow, miał zamiar zawiązać go w sztandar i wyrzucić za burtę, lecz na pokładzie transatlantyku Marcos mimo zdziczałego, obłądnego wyglądu zawarł tyle przyjaźni i rozkochał w sobie tyle kobiet, że pasażerowie nie dopuścili do tego i Longfellow musiał zamknąć zwłoki w składzie z zieloną należąca do chińskiego kucharza, aby uchronić je przed upałem i moskitami z tropików, dopóki pokładowy stolarz nie zbił skrzyni, w której złożono Marcosa. W Callao kupiono odpowiednią trumnę i w kilka dni później kapitan rozeźlony kłopotami, które pasażer ten sprawił towarzystwu żeglugowemu i jemu osobiście, wyładował ją bez ceregieli na nabrzeżu, zdziwiony, że nie zjawił się nikt, kto upomniałby się o zwłoki i pokrył nieprzewidziane wydatki. Później dowiedział się, że pod tą szerokością geograficzną do poczty nie można mieć takiego zaufania jak w odległej Anglii i że telegramy wyparowały po drodze. Na szczęście dla Longfellowa stawił się adwokat urzędu celnego, który znał rodzinę del Valle i zaproponował, że zajmie

się tą sprawą; załadował trumnę i cały bagaż Marcosa na wynajęty wóz i udał się do stolicy pod jedyny stały adres nieboszczyka, jaki znano: do domu jego siostry.

Dla Clary byłaby to jedna z najboleśniejszych chwil w życiu, gdyby nie to, że wśród manatków wuja znaleziono Barrabása. Wiedzioną instynktem i nie zwracając uwagi na panujące na patio zamieszanie, udała się prosto do miejsca, w którym zrzuciono klatkę. W środku siedział Barrabás. Była to kupa kostek pokryta sierścią nieokreślonej barwy i zainfekowana, z jednym okiem zamkniętym, a drugim zaropiałym, nieruchoma jak trup we własnych odchodach. Mimo to dziewczynka rozpoznała go bez trudu.

– Piesek! – pisnęła.

Zajęła się nim. Wyciągnęła go z klatki, przytuliła do piersi i z troskliwością misjonarki naalała mu wody do opuchniętego i wysuszonego pyska. Nic nie jadł, odkąd kapitan Longfellow, który podobnie jak wszyscy Anglicy lepiej traktował zwierzęta niż ludzi, zostawił go wraz z bagażami na nabrzeżu. Dopóki pies znajdował się na pokładzie u boku umierającego pana, kapitan karmił go własną ręką i prowadził po pokładzie, okazując wszelkie względy, których pośkapiał Marcosowi, natomiast na lądzie potraktowano go jako część ekwipunku. Clara stała się matką dla psa – nikt zresztą nie współzawodniczył z nią o ten wątpliwy przywilej – i zdołała przywrócić go do życia. Parę dni później, gdy ucichła burza spowodowana pojawieniem się zwłok wuja Marcosa i pogrzebem, Severo przyjrzał się włochatemu zwierzakowi spoczywającemu w ramionach córki.

– Co to takiego? – zapytał.

– Barrabás – odparła Clara.

– Oddaj go ogrodnikowi, niech się go pozbędzie. Może nas czymś zarazić – nakazał Severo.

Lecz Clara już go uważała za swego.

– On jest mój, tato. Jeśli mi go zabierzesz, to przysięgam, że przestanę oddychać i umrę.

Pies pozostał w domu. Wkrótce biegał wszędzie, obgryzał frędzle u zasłon, dywany i nogi od stołów. Bardzo szybko wrócił do siebie.

Gdy go wykąpano, okazało się, że jest czarny, ma kwadratową głowę, bardzo długie łapy i krótką sierść. Nana zasugerowała, że należy obciąć mu ogon, by wyglądał na delikatnego pieska, ale Clara wpadła w gniew, który przerodził się w atak astmy, i nikt nie wspomniał więcej o tym pomysle. Barrabás zachował ogon, który z biegiem czasu osiągnął długość kija golfowego i poruszał się bezwiednie, zmiatając porcelanę ze stołów i strącając lampy. Pies był nieokreślonej rasy. W niczym nie przypominał kundli, które włóczyły się po ulicy, ani tym bardziej psów rasowych, jakie trzymano w niektórych arystokratycznych domach. Weterynarz nie potrafił powiedzieć, skąd pochodzi, a Clara przypuszczała, że z Chin, ponieważ dużą część bagażu wuja stanowiły upominki z tego dalekiego kraju. Miał nieograniczoną zdolność wzrostu. Po sześciu miesiącach osiągnął rozmiary owcy, a po roku żrebaka. Zrozpaczona rodzina zastanawiała się, co z niego wyrośnie, i zaczęła wątpić, czy to rzeczywiście pies; podejrzewano, że jest to egzotyczne zwierzę, schwyte w jakimś zakątku świata przez wuja odkrywcę i że w stanie pierwotnym był dzikim drapieżnikiem. Nívea obserwowała jego łapy godne krokodyla i ostre zęby i jej matczyne serce ścisnęło się na myśl, że bestia ta jednym kłapięciem może odgryźć głowę dorosłemu człowiekowi, a co dopiero któremuś z dzieci. Lecz Barrabás nie okazywał najmniejszej agresywności – wręcz przeciwnie. Swawolił jak kotek. Spał w łóżku Clary, obejmując ją i trzymając głowę na puchowej poduszce, przykryty po szyję, bo był wrażliwy na zimno, a później, gdy nie mieścił się już w łóżku, kładł się obok na podłodze i końskich rozmiarów pysk opierał na ramieniu dziewczynki. Nigdy nie szczekał ani nie warczał. Był czarny i cichy jak pantera, lubił szynkę i kandyzowane owoce i zawsze gdy byli goście, a zapominano go zamknąć, wkraczał chyłkiem do jadalni i obchodził stół, ściągając dyskretnie z talerzy swoje ulubione przekąski, w czym nikt z biesiadników nie ośmielał się mu przeszkadzać. Barrabás, choć łagodny jak panienka z dobrego domu, wzbudzał lęk. Dostawcy rzucali się do ucieczki, gdy pojawiał się na ulicy, a pewnego razu jego obecność wywołała panikę wśród kobiet, które stały w kolejce do mleczarza; kobiety te spłoszyły perszerona,



który roztrzącił z hukiem i trzaskiem wiadra z mlekiem ustawione na jezdni. Severo musiał zapłacić za wyrządzone szkody i rozkazał przywiązać psa na patio, ale Clara znowu dostała konwulsji i wykonanie wyroku odłożono na czas nieokreślony. Ludowa fantazja i nieznanostwo rasy Barrabása sprawiły, że przypisywano mu cechy mitologiczne. Opowiadano, że ciągle rośnie i gdyby jego istnieniu nie położyła kresu brutalność pewnego rzeźnika, osiągnąłby rozmiary wielbłąda. Ludzie uważali, że jest on krzyżówką psa i kłaczy, przypuszczali, że mogą mu wyrosnąć skrzydła i rogi, że jak smok będzie ział siarką i że w ogóle jest jak bestia, które Rosa haftowała w nieskończoność na swoim obrusie. Nana, która miała dość zbierania potłuczonej porcelany i gadaniny, że przy pełni księżyca pies zamienia się w wilkołaka, postanowiła poradzić sobie z nim tak samo jak kiedyś z papugą, ale duża dawka tranu nie zabiła go, a jedynie wywołała czterodniową sraczkę, po której ona sama musiała sprzątać dom od góry do dołu.

Były to ciężkie czasy. Miałem wtedy około dwudziestu pięciu lat, lecz wydawało mi się, że nie będę już długo żył i nie osiągnę pozycji, do której aspirowałem. Harowałem jak wół i rzadko mogłem usiąść, by odpocząć, a zmuszony do tego w jakąś nudną niedzielę, miałem poczucie, że tracę cenne chwile i że każda minuta bezczynności oddala mnie o cały wiek od Rosy. Mieszkałem na terenie kopalni w chacie zbitej z desek, z cynkowym dachem, którą zbudowałem, korzystając z pomocy paru peonów. Była jednoizbowa i trzymałem w niej cały dobytek; w każdej ścianie miała okienka, by za dnia, gdy panowała duchota, był przewiew, w nocy zaś zamykałem okiennice, bo wiał lodowaty wiatr. Za całe umeblowanie miałem krzesło, łóżko polowe, prosty stół, maszynę do pisania i ciężką kasę ogniotrwałą, którą kazałem przewieźć przez pustynię na grzbiecie muła; trzymałem w niej pieniądze na dniówki dla górników, nieco dokumentów i brezentowy mieszek, w którym błyszcząły kawałeczki złota, stanowiące owoc mego wysiłku. Chata nie była wygodna, ale przywykłem do niewygód. Nigdy nie kąpałem się w ciepłej wodzie i z dzieciństwa pozosta-

ło mi wspomnienie chłodu, samotności i wiecznej pustki w żołądku. W chacie tej jadłem, spałem i pisałem przez dwa lata, nie mając żadnej rozrywki poza lekturą kilku wielokrotnie już przeczytanych książek, stosu starych gazet, paru tekstów po angielsku, które służyły mi do nauki podstaw tego wspaniałego języka, i przechowywanej w pudełku zamykanym na klucz korespondencji z Rosą. Przywykłem do pisania listów do niej na maszynie i przez kalkę, toteż kopie zostawiałem dla siebie i układałem je w porządku chronologicznym wraz z nielicznymi listami, które dostawałem od niej. Jadłem ze wspólnego kotła z górnikami. Zakazałem spożywania trunków na terenie kopalni. Nie trzymałem ich też w domu, bo zawsze uważałem, że samotność i nuda w końcu robią z człowieka alkoholika. Być może do abstynencji skłoniło mnie wspomnienie mego ojca z kieliszkiem w ręku, rozpiętym kołnierzykiem i rozluźnionym poplamionym krawatem, zmąconym wzrokiem i ciężkim oddechem. Mam słabą głowę i łatwo się upijam. Uświadomiłem to sobie, gdy miałem siedemnaście lat, i nigdy o tym nie zapomniałem. Kiedyś wnuczka zapytała mnie, jak mogłem tak długo żyć w samotności i tak daleko od cywilizacji. Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Lecz prawdę mówiąc, musiało mi to przyjść łatwiej niż wielu innym ludziom, ponieważ nie jestem towarzyski, nie mam wielu przyjaciół i nie lubię zabaw nawet w domu – przeciwnie, czuję się lepiej, gdy jestem sam. Z trudem wchodzę z ludźmi w zażyłe stosunki. W tamtych czasach nie byłem jeszcze z kobietą, więc nie mogłem gardzić czymś, czego nie znałem. Nigdy nie byłem kochliwy, jestem z natury wierny, choć wystarczy cień ramienia, wgięcie w pasie, zarys kolana kobiety, a już różne myśli przychodzą mi do głowy nawet dzisiaj, gdy jestem tak stary, że nie poznaję się w lustrze i wyglądam jak skrzywione drzewo. Wcale nie usiłuję usprawiedliwiać grzechów młodości, opowiadając bajki o tym, że nie mogłem opanować popędów i żądz. Byłem wtedy przyzwyczajony do utrzymywania stosunków bez perspektyw na przyszłość z kobietami lekkich obyczajów, bo nie miałem innych możliwości. W moim pokoleniu dzieliliśmy kobiety na przyzwoite i te inne, a także dzieliliśmy przyzwoite na własne

i cudze. Nie myślałem o miłości, dopóki nie poznałem Rosy, a miłość romantyczna wydawała mi się niebezpieczna i zbędna i jeśli czasami spodobała mi się jakaś dziewczyna, nie miałem odwagi zbliżyć się do niej z obawy, że zostanę odtrącony i ośmieszony. Byłem bardzo dumny i z powodu dumy cierpiełem bardziej niż inni.

Od tego czasu minęło ponad pół wieku, lecz nadal pamiętam dokładnie chwilę, w której piękna Rosa wkroczyła w moje życie jak roztargniony anioł i od razu ukradła mi duszę. Szła z Naną i kimś jeszcze, prawdopodobnie jedną z młodszych sióstr. Miała chyba na sobie sukienkę koloru lila, ale nie jestem tego pewien, ponieważ nie jestem spostrzegawczy, gdy chodzi o stroje kobiece, i ponieważ była tak urocza, że nawet gdyby miała na sobie gronostajowe futro, mój wzrok przykułyby jedynie rysy jej twarzy. Zazwyczaj nie gapię się na kobiety, ale musiałbym być niedojdą, gdybym nie zwrócił uwagi na tę zjawę, która idąc ulicą, wywoływała zamieszanie i powodowała zatory, bo tak ludzie reagowali na widok zielonych włosów, okalających twarz jak fantazyjny kapelusz, postawy czarodziejki i ruchów, które sprawiały wrażenie, że unosi się w powietrzu. Przeszła, nie zwracając na mnie uwagi, i jak powiew wiatru przeniknęła do cukierni na placu Broni. Stałem osłupiały na ulicy, podczas gdy ona kupowała anyżkowe cukierki. Wybierała je pojedynczo, śmiejąc się dźwięcznie, po czym próbowała jednych, a innymi częstowała siostrę. Nie byłem jedyną osobą, którą zahipnotyzowała: w ciągu paru minut utworzył się szpaler mężczyzn, którzy zaglądali do cukierni przez okno wystawowe. Wtedy podjąłem decyzję. Nie przyszło mi na myśl, że wcale się nie nadaję na idealnego pretendenta do ręki tej boskiej dziewczyny, bo nie jestem ani majątnym, ani zbyt przystojnym kawalerem, a przyszłość mam przed sobą niepewną. Co więcej, wcale jej nie znałem! Lecz olśniła mnie i w tej samej chwili postanowiłem, że jest to jedyna kobieta godna tego, by zostać moją żoną, i że jeśli okaże się, iż nie może być moja, zostanę starym kawalerem. Nie odstępowałem jej przez całą drogę powrotną do domu. Wskoczyłem do tego samego tramwaju i usiadłem za nią, nie mogąc oderwać wzroku od doskonałego kształtu jej karku, okrągłej szyi,

delikatnych ramion i opadających na nie zielonych loków. Nie czułem ruchu tramwaju, gdyż wszystko to było jak sen. Nagle prześlizgnęła się obok mnie, a wtedy jej zaskakująco złote źrenice zatrzymały się na ułamek sekundy na moich. Mało brakowało, a umarłbym. Nie mogłem oddychać i ustało mi tętno. Gdy odzyskałem równowagę, musiałem wyskoczyć na chodnik, ryzykując złamanie jakiejś kości, i pobiegłem w stronę ulicy, którą poszła. Domyśliłem się, gdzie mieszka, gdy ujrzałem płamę koloru lila rozplywającą się za bramą. Odtąd warowałem przed jej domem, kręcąc się w pobliżu jak hiszpański pies, szpiegując, przekupując ogrodnika, zagadując służące, aż w końcu udało mi się porozmawiać z Naną i ona, święta kobieta, zlitowała się nade mną i zgodziła się przekazywać Rosie moje listki miłosne, kwiaty i niezliczone pudełka anyżkowych cukierków, którymi usiłowałem podbić jej serce. Przesyłałem jej też akrostychy. Nie umiem pisać wierszy, ale pewien hiszpański księgarz genialnie rymował, więc zamawiałem u niego wiersze, piosenki – cokolwiek, co może być pisane atramentem na papierze. Moja siostra Férule pomogła mi nawiązać znajomość z rodziną del Valle, gdyż odkryła jakieś dalekie pokrewieństwo między naszymi rodzinami i szukała okazji, abyśmy mogli wymienić ukłony po mszy. W ten sposób udało mi się złożyć Rosie wizytę. W dniu, w którym przekroczyłem próg jej domu i miałem ją w zasięgu mojego głosu, nie przyszło mi do głowy nic, co mógłbym jej powiedzieć. Stałem więc niemy z kapeluszem w ręku i otwartą z wrażenia gębą, aż jej rodzice, którym były znane takie reakcje, wyciągnęli mnie z opałów. Nie wiem, co Rosa widziała we mnie ani dlaczego z biegiem czasu zgodziła się mnie poślubić. Nie musiałem stawać na głowie, aby zostać jej oficjalnym narzeczoną, ponieważ choć była nieludzko piękna i miała niezliczone zalety, nikt nie starał się o jej rękę. Przyczynę wyjaśniła mi jej matka, która powiedziała, że żaden mężczyzna nie czuł się na siłach bronić Rosy przez całe życie przed zakusami ze strony innych mężczyzn. Wielu chodziło za nią i traciło dla niej zmysły, lecz nie zdecydował się żaden, dopóki ja nie pojawiłem się na horyzoncie. Onieśmiała ich swoją urodą i dlatego podziwiali ją z daleka, lecz się

nie zbliżali. Prawdę mówiąc, nigdy nie przeżywałem takich rozterek. Szkopuł w tym, że nie miałem ani grosza, ale czułem, że dzięki sile miłości zostanę bogatym człowiekiem. Rozejrzałem się za krótką drogą do celu, mieszczącą się w granicach uczciwości, w których mnie wychowano, i stwierdziłem, że aby odnieść sukces, powinienem mieć protektorów, odbyć specjalne studia lub posiadać kapitał. Cieszące się szacunkiem nazwisko nie wystarczało. Przypuszczam, że gdybym miał na początek jakieś pieniądze, to grałbym w karty lub stawiał na konie wyścigowe, ale ponieważ tak nie było, musiałem pomyśleć o pracy, która – choćby ryzykowna – pozwoliłaby mi zbić majątek. Kopalnie złota i srebra były marzeniem awanturników: mogły pogrążyć ich w nędzy, przyprawić o gruźlicę i spowodować śmierć lub przynieść bogactwo. Wszystko zależało od tego, czy się miało szczęście czy nie. Dzięki temu, że nazwisko panięńskie mojej matki bardzo się liczyło, bank udzielił mi poręczenia i uzyskałem koncesję na pewną kopalnię na północy kraju. Poprzysiągłem sobie, że wyeksploatuję ją do ostatniego grama szlachetnego metalu, choćbym miał przekopać wzgórze własnymi rękami i rozetrzeć skały własnymi stopami. Nie tylko to byłem gotów uczynić dla Rosy.

Pod koniec jesieni, gdy rodzinę przestały niepokoić intencje ojca Restrepo, który musiał uśmierzyć swoje inkwizytorskie zapędy po tym, jak biskup osobiście nakazał mu zostawić w spokoju małą Clarę del Valle, i gdy wszyscy pogodzili się z myślą, że wuj Marcos naprawdę umarł, zaczęły się konkretyzować plany polityczne Severa. Pracował na to przez wiele lat. Wreszcie odniósł sukces: partia liberalna poprosiła go, by w wyborach parlamentarnych kandydował na posła z pewnej prowincji na południu; nigdy w niej nie był i miałby nawet pewne trudności z odnalezieniem jej na mapie. Partia potrzebowała ludzi, a Severo bardzo pragnął zasiąść w Kongresie, więc bez trudu przekonała ubogich wyborców z południa, aby wysunęli jego kandydaturę. Wyborcy wystosowali zaproszenie poparte prezentem w postaci pieczonego różowego wieprza monumentalnych rozmiarów. Przyniesiono go do domu państwa del Valle na drewnianej tacy,

pachnącego i lśniącego; spoczywał na łożu z pomidorów, z pietruszką w ryju i marchwią w dupie. Miał gruby szew na brzuchu, a brzuch nadziany kuropatwami; te z kolei były nadziane śliwkami. Towarzyszyła mu karafka, która mieściła pół galona najlepszej wódki krajowej. Severo od dawna marzył, by zostać posłem, a jeszcze bardziej senatorem. Dążył do celu cierpliwie, czemu służyły kontakty i znajomości, konwentykle, dyskretne, acz skuteczne wystąpienia publiczne, pieniądze oraz przysługi wyświadczane właściwym osobom we właściwym czasie. Owa prowincja na południu, choć odległa i nieznana, była właśnie tym, czego oczekiwał.

Wieprza dostarczono we wtorek. W piątek, gdy pozostały po nim już tylko skóra i kości, które Barrabás obgryzał na patio, Clara zapowiedziała, że w domu ktoś umrze.

– Ale umrze przez pomyłkę – rzekła.

W sobotę źle spała i obudziła się z krzykiem, Nana podała jej napar z kwiatów lipy i nikt nie zwracał na nią uwagi, bo wszyscy byli zajęci przygotowaniami ojca do podróży na południe, a piękna Rosa wstała rano z gorączką. Nívea poleciła, żeby Rosa została w łóżku, ale doktor Cuevas orzekł, że to nic groźnego, i przepisał jej na poty letnią, dobrze osłodzoną lemoniadę z odrobiną napoju alkoholowego. Severo poszedł zobaczyć się z córką i zastał ją z silnymi rumieńcami na twarzy i błyszczącymi oczyma, tonącą w kremowych koronkach prześcieradeł. W podarunku przyniósł jej karnecik balowy; pozwolił Nanie otworzyć karafkę i dolać wódki do lemoniady. Rosa wypiła lemoniadę, przykryła się wełnianą derką i zaraz usnęła u boku Clary, z którą dzieliła pokój.

W niedzielę wydarzyła się tragedia. Jak zwykle Nana wstała wczesnym rankiem. Przed wyjściem na mszę poszła do kuchni przygotować śniadanie dla całej rodziny. W piecu, opalanym drewnem i węglem, żarzyły się jeszcze węgle z poprzedniego wieczoru, więc z łatwością rozpałiła ogień. Grzejąc wodę i gotując mleko, wyjmowała talerze, które miała zanieść na stół. Zaczęła gotować owsiankę, cedzić kawę, robić grzanki. Przygotowała dwie tace, jedną dla Nívei, która zawsze jadła śniadanie w łóżku, a drugą dla Rosy, która jako

chora również miała do tego prawo. Nakryła tacę Rosy wyhaftowaną przez zakonnice lnianą serwetką, aby kawa nie wystygła i nie wpadały do niej muchy, i wyrzała na patio, rozglądając się za Barrabásem. Zazwyczaj napastował ją, gdy niosła śniadanie. Ujrzała go swawolącego z kurą, więc ruszyła przez podwóreczka i korytarze w długą drogę z położonej w głębi domu kuchni aż do pokoju dziewczynek. Przed drzwiami pokoju Rosy zawahała się, gdyż nagle ogarnęło ją złe przeczucie. Weszła bez zapowiedzi, jak to miała w zwyczaju, i natychmiast poczuła zapach róż, choć nie była to pora roku, w której one kwitną. Wtedy zrozumiała, że stało się straszne nieszczęście. Postawiła ostrożnie tacę na nocnym stoliku i powoli podreptała do okna. Rozsunęła ciężkie kotary i blade promienie porannego słońca wpadły do pokoju. Odwróciła się zaniepokojona; nie zaskoczył jej widok martwej Rosy, która leżała na łóżku piękniejsza niż kiedykolwiek, z jaskrawo zielonymi włosami, cerą przypominającą świeżą kość słoniową i otwartymi, żółtymi jak miód oczyma. W nogach siedziała mała Clara, która przyglądała się siostrze. Nana uklękła przy łóżku, wzięła Rosę za rękę i zaczęła się modlić. Modliła się do chwili, w której w całym domu rozległ się straszliwy lament, przypominający wołanie o pomoc z tonącego statku. To Barrabás zawył po raz pierwszy i ostatni w życiu. Wył tak przez cały dzień, aż wprowadził w rozstrój nerwowy domowników, a także sąsiadów, którzy zbiegli się zwabieni tym jękiem rozbitka.

Doktorowi Cuevasowi wystarczył rzut oka na ciało Rosy, aby zorientować się, że przyczyną zgonu było coś o wiele poważniejszego niż chwilowa gorączka. Zaczął węszyć po kątach, rozejrzał się w kuchni, pozaglądał do garnków, worków z mąką i cukrem, skrzynek z suszonymi owocami, wszystko powywracał do góry nogami i zostawił po sobie taki bałagan, jakby przeszedł huragan. Pogrzebał w szufladach Rosy, przesłuchał po kolei służących, Nanę zdręczył pytaniami do tego stopnia, że straciła panowanie nad sobą, i w końcu śledztwo doprowadziło go na karafkę wódki, którą zarekwirował, nikomu się nie opowiadając. Z nikim nie podzielił się wątpliwościami, ale karafkę zabrał do laboratorium. Wrócił po trzech godzinach

z wyrazem przerażenia na twarzy, który zamienił jego rumiane oblicze fauna w bladą maskę; maskę tę nosił dopóty, dopóki nie nastąpił finał tej strasznej sprawy. Podszedł do Severa, ujął go pod ramię i odprowadził na bok.

– W wódce było tyle trucizny, że nawet byk by zdechł – rzekł mu na ucho. – Lecz jeśli mam mieć pewność, że to jest przyczyną zgonu dziewczynki, muszę zrobić autopsję.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że musi ją pokroić? – jęknął Severo.

– Niezupelnie. Głowy nie tknę, a jedynie system trawienny – wyjaśnił doktor Cuevas.

Severowi zrobiło się duszno.

Nívea, wyczerpana o tej godzinie płaczem, na wiadomość, że mają zamiar zabrać jej córkę do kostnicy, odzyskała nagle energię. Uspokoiła się dopiero wtedy, gdy złożono przyrzeczenie, że Rosa zostanie zabrana z domu prosto na cmentarz katolicki. Wtedy zgodziła się wziąć laudanum i spała przez dwadzieścia godzin.

Gdy zapadła noc, Severo zarządził przygotowania. Dzieciom kazał iść spać, a służącym pozwolił oddalić się o wczesnej porze. Clarze, która była pod zbyt silnym wrażeniem tego, co się zdarzyło, pozwolił spędzić noc w pokoju innej siostry. Gdy już pogaszono wszystkie światła, a dom pogrążył się we śnie, przyszedł asystent doktora Cuevasa, młody człowiek o chorobliwym wyglądzie, krótkowidz i jąkała. Wraz z doktorem pomógł Severowi przenieść ciało Rosy do kuchni, gdzie złożono je delikatnie na marmurowym stole, na którym Nana wyrabiała ciasto i siekała zieleninę. Mimo silnego charakteru Severo nie wytrzymał, gdy córce zdjęto koszulę nocną i w całym splendorze ukazała się jej syrenia nagość. Wyszedł, potykając się, pijany z bólu, i zwałił się z nóg w salonie, płacząc jak dziecko. Również doktor Cuevas, który był przy narodzinach Rosy i znał ją jak palce własnej ręki, przeżył wstrząs, widząc ją rozebraną. Młody asystent zaczął natomiast sapać z wrażenia i sapał przez następne lata, ilekroć przypominał sobie niezwykły widok: Rosę śpiącą nago na stole kuchennym, z długimi włosami, które kaskadą opadały na podłogę.



Gdy wykonywali tam swój straszny obowiązek, Nana, znudzona płaczem i modlitwą i przeczuwając, że coś dziwnego dzieje się na jej terytorium na trzecim patio, wstała, zarzuciła na siebie szal i ruszyła na obchód domu. Zobaczyła światło w kuchni, ale drzwi i okiennice były zamknięte. Szła korytarzami, na których panowały cisza i chłód, przemierzyła trzy skrzydła domu i dotarła do salonu. Przez uchylone drzwi dostrzegła pana, który przechadzał się po pokoju; wyglądał na zrozpaczonego. W kominku wygasł ogień. Nana weszła do salonu.

– Gdzie jest Rosa? – zapytała.

– Jest z nią doktor Cuevas, Nano. Zostań tutaj i wypij ze mną kieliszek – odparł błagalnym tonem Severo.

Nana stała ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, otulona szalem. Severo wskazał jej sofę, do której podeszła nieśmiało. Usiadła obok niego. Była tak blisko pana po raz pierwszy od czasu, gdy zamieszkała u niego. Severo nalał jerezu do kieliszków i wychylił swój jednym haustem. Chował twarz w dłoniach, targał palcami włosy i z zaciśniętymi zębami mamrotał jakąś niezrozumiałą i smutną litanie. Nana, która siedziała sztywno na krawędzi krzesła, rozluźniła się, widząc, że płacze. Wyciągnęła szorstką dłoń i automatycznym gestem przygładziła jego włosy z taką samą czułością, z jaką od dwudziestu lat pocieszała dzieci. Podniósł wzrok i przyjrzał się jej twarzy, na której nie był wypisany żaden wiek, indiańskim kościom policzkowym, czarnemu kokowi, szerokiemu łonu, do którego tulił się i na którym usypiali wszyscy jego potomkowie, i poczuł, że ta kobieta, ciepła i wielkoduszna jak ziemia, może przynieść mu ukojenie. Położył głowę na jej kolanach, wciągnął delikatny zapach nakrochmalonego fartucha i rozszlochał się jak dziecko, wypłakując wszystkie łzy, które powstrzymywał w sobie od czasu, gdy wszedł w wiek męski. Nana podrapała go po plecach, poklepała na pocieszenie, przemówiła cichym głosem, jak wtedy, gdy usypiała dzieci, i nuciła cichutko chłopskie kołysanki, aż zdołała go uspokoić. Potem siedzieli bardzo blisko siebie, popijając jerez, popłakując od czasu do czasu i wspominając dobre czasy, gdy Rosa biegała po ogrodzie. zaskakując motyle pięknem morskiej głębi.

W kuchni doktor Cuevas i jego asystent przygotowali złowrogie utensylia i śmierdzące flakony, pozakładali gumowe fartuchy, pozawijali rękawy i przystąpili do grzebania się w intymnościach pięknej Rosy. W końcu stwierdzili bez cienia wątpliwości, że dziewczyna połknęła ogromną dawkę trucizny na szczury.

– Była przeznaczona dla Severa – rozstrzygnął sprawę doktor, myjąc ręce w zlewozmywaku.

Asystent, zbyt oczarowany urodą zmarłej, nie godził się, żeby zszyto ją jak worek, i zasugerował, by zwłoki nieco przysposobiono. Wzięli się więc obaj do dzieła, nacierając ciało balsamem i napełniając je kompresami z pachnidłem. Pracowali do czwartej rano, kiedy to doktor Cuevas uznał się za pokonanego przez zmęczenie i smutek i wyszedł. Rosa pozostała w rękach asystenta; ten zmył z niej gąbką plamy krwi, założył jej haftowaną koszulę, którą zakrył szew biegnący od gardła do łona, i ułożył włosy. Potem usunął ślady swojej pracy.

Doktor Cuevas zastał Severa w salonie w towarzystwie Nany; oboje byli upojeni płaczem i jerezem.

– Już czas – rzekł. – Przygotujemy ją nieco, żeby mogła zobaczyć ją matka.

Wyjaśnił Severowi, że jego podejrzenia były uzasadnione i że w żołądku córki znalazł tę samą śmiercionośną substancję co w podarowanej wódce. Wtedy Severo przypomniał sobie przepowiednię Clary i stracił resztę równowagi, którą jeszcze zachowywał, gdyż nie mógł pogodzić się z myślą, że córka umarła zamiast niego. Załamał się i jęczał, że to jego wina, bo jest żądny władzy i pełen pychy, że nikt nie kazał mu brać się do polityki, że był o wiele lepszym człowiekiem jako zwykły adwokat i ojciec rodziny, że rezygnuje natychmiast i raz na zawsze z kandydowania, porzuca partię liberalną, jej pychę i jej dokonania, że ma nadzieję, iż żaden z jego potomków nie będzie mieszał się do polityki, gdyż jest to zajęcie dla rzeźników i bandytów, aż w końcu doktor Cuevas zlitował się i spał go na umór. Jerez okazał się silniejszy niż żal i poczucie winy. Nana i doktor zaniesli go do sypialni, rozebrali i położyli do łóżka. Następnie udali się do kuchni, gdzie asystent kończył swoje zabiegi nad zwłokami Rosy.

Nívea i Severo del Valle obudzili się późno następnego ranka. Krewni udekorowali dom na obrzędy pogrzebowe, zasłony były ściągnięte i ozdobione czarną krepą, a wzdłuż ścian leżały wieńce, których mdły aromat zawisł w powietrzu. W jadalni zrobiono katafalk. Na wielkim stole, przykrytym czarnym sukniem ze złocistymi frędzlami, ustawiono białą trumnę ze srebrnymi nitami, w której spoczywała Rosa. Dwanaście żółtych świec w kandelabrach z brązu oświetlało dziewczynę rozproszonym blaskiem. Odziano ją w strój narzeczeński i założono woskowy wianek z kwiatów pomarańczy, który chowała na dzień zaślubin.

W południe zaczęli się schodzić krewni, przyjaciele i znajomi, którzy składali kondolencje i towarzyszyli rodzinie del Valle w żałobie. W domu zjawili się nawet najzacieklejsi przeciwnicy polityczni i Severo del Valle obserwował ich wszystkich uważnie, w każdej parze oczu starając się odkryć sekret mordercy, lecz we wszystkich – nawet w oczach przewodniczącego partii konserwatywnej – dostrzegł ten sam co u innych żal i tę samą niewinność.

Gdy czuwano przy zmarłej, kawalerowie krążyli po salonach i korytarzach, komentując ściszym głosem sprawy związane ze swoimi interesami. Milkli na znak szacunku, gdy zbliżał się ktoś z rodziny. W jadalni, podchodząc do trumny, by spojrzeć po raz ostatni na Rosę, wszyscy wzdrygali się, bo w godzinach tych jeszcze bardziej wypiękniała. Panie przechodziły do salonu, gdzie ustawiono w krąg krzesła zniesione z całego domu. Było tam wygodnie i można było płakać do woli, dając pod pretekstem cudzej śmierci upust własnym smutkom. Płakano więc obficie, lecz godnie i po cichu. Niektóre kobiety mamrotały pacierze. Służące chodziły po salonach i korytarzach, podając gościom filiżanki herbaty i kieliszki koniaku, kobietom czyste chusteczki i słodczyce domowego wyrobu, a paniom, które cierpiały na zawroty głowy z powodu duszności, zapachu świec i ze zmartwienia, małe kompresy z amoniaku. Siostry del Valle, z wyjątkiem Clary, która była jeszcze bardzo młoda, ubrały się na czarno i obsiadły matkę jak wrony. Nívea, która wypłakała wszystkie łzy, trzymała się sztywno na krześle, nie wzdychając, nic

nie mówiąc i nie szukając ulgi w amoniaku, który wywoływał u niej alergię. Przybywający goście podchodzili do niej i składali kondolencje. Niektórzy całowali ją w oba policzki, inni ściskali przez parę sekund, lecz ona zdawała się nie poznawać nawet najbliższych. Widziała śmierć innych dzieci, czy to w ich wczesnym dzieciństwie, czy przy porodzie, lecz żadna nie przypawiła jej o takie poczucie straty, jakie przeżywała w tej chwili.

Całe rodzeństwo pożegnało Rosę pocałunkami złożonymi na lodowatym czole i tylko Clara nie chciała wejść do jadalni. Nie nalegano, ponieważ znano jej niezwykłą wrażliwość i skłonność do lunatyizmu, gdy jej wyobraźnia ulegała zmąceniu. Pozostała w ogrodzie skulona obok Barrabása i odmawiała przyjmowania posiłków i czuwania przy zmarłej. Tylko Nana zwróciła na nią uwagę i chciała pocieszyć małą, lecz Clara ją odepchnęła.

Mimo środków ostrożności, które podjął Severo, aby zapobiec plotkom, śmierć Rosy stała się skandalem publicznym. Doktor Cuevas oferował każdemu, kto chciał go słuchać, całkiem racjonalne wyjaśnienie przyczyny zgonu, który – jak twierdził – nastąpił na skutek nagłego zapalenia płuc. Lecz rozeszła się pogłoska, że została otruta przez pomyłkę, zamiast ojca. Wówczas w tym kraju nie znano zabójstw na tle politycznym, a trucizna była w najlepszym razie ratunkiem dla frywolnych kobiet, czymś zdyskredytowanym i nie stosowanym od czasów kolonialnych, bo nawet zbrodnie w afekcie popełniano z otwartą przyłbicą. Podniosły się głosy protestu przeciwko zamachowi i nim Severo zdołał temu zapobiec, wiadomość opublikowała pewna gazeta opozycyjna, która w sposób zawołowany oskarżyła o ten czyn oligarchię, dodając, że konserwatyści zdolni są nawet do tego, gdyż nie mogą wybaczyć Severowi del Valle, że wbrew swojej klasie społecznej przeszedł na stronę liberałów. Policja usiłowała pójść tropem karafki z wódką, ale ustaliła jedynie, że nie pochodziła z tego samego źródła co wieprz nadziany kuropatwami i że wyborcy z południa nie mieli z tym nic wspólnego. Tajemniczą karafkę znaleziono przypadkiem pod drzwiami kuchennymi w tym samym dniu i o tej samej godzinie, w której przywieziono pie-

czonego wieprza. Kucharka sądziła, że stanowi ona część składową podarunku. Ani gorliwość policji, ani dochodzenie przeprowadzone na własną rękę przez Severa za pośrednictwem prywatnego detektywa nie doprowadziły do wykrycia zabójców i cień tej zemsty, której tajemnicy nie rozstrzygnięto, pozostał obecny w życiu następnych pokoleń. Był to pierwszy z wielu aktów przemocy, które odcisnęły piętno na losach rodziny del Valle.

Pamiętam to doskonale. Był to dla mnie bardzo szczęśliwy dzień, ponieważ ukazała się nowa żyła – gruba, cudowna żyła, której szukałem przez ten cały czas wypełniony poświęceniem, nieobecnością i oczekiwaniem i która mogła być źródłem upragnionego przeze mnie bogactwa. Byłem pewien, że za sześć miesięcy będę miał dość pieniędzy, żeby się ożenić, a za rok będę mógł zacząć uważać się za bogatego człowieka. Miałem szczęście, bo w biznesie górniczym było o wiele więcej takich, którzy doprowadzali się do ruiny, niż takich, co odnosili sukces, o czym mówiłem – a raczej pisałem – tego wieczora Rosie, tak bardzo ogarnięty euforią, tak niecierpliwym, że plątały mi się palce, gdy stukałem na maszynie, i słowa się sklejały. Wtedy właśnie usłyszałem łomotanie do drzwi, które raz na zawsze odebrało mi natchnienie. Był to poganiacz z parą mułów; przyniósł z osady telegram, nadany przez moją siostrę Férule, z wiadomością o śmierci Rosy.

Trzykrotnie przeczytałem tekst widniejący na kawałku papieru, nim zdałem sobie sprawę z beznadziejnego położenia, w jakie wtrąciła mnie ta wiadomość. Jedno nigdy nie przyszło mi na myśl – to, że Rosa była istotą śmiertelną. Wiele przecierpiałem, myśląc, że znużona oczekiwaniem na mnie wyjdzie za kogoś innego, że nigdy nie pojawi się ta przeklęta żyła, która miała mi przynieść fortunę, że kopalnia zawali się i zgniecie mnie jak karalucha. Rozważałem wszystkie te możliwości i jeszcze kilka innych, ale nigdy – mimo mojego przysłówiowego pesymizmu, który zawsze każe mi spodziewać się najgorszego – nie liczyłem się z możliwością śmierci Rosy. Czułem, że bez Rosy życie nie ma dla mnie sensu. Byłem wewnętrznie pusty

jak przekłuty balon i straciłem cały entuzjazm. Nie wiem, jak długo siedziałem na krześle, patrząc przez okno na pustynię, ale w końcu dusza zaczęła powoli wypełniać ciało. Moją pierwszą reakcją była wściekłość. Z taką siłą rzuciłem się z pięściami na słabe drewniane przepierzenia, że pokrwawiłem sobie nadgarstki, podarłem na tysiąc strzępów listy i rysunki Rosy oraz kopie moich listów, które przechowywałem, pospiesznie powrzucałem do walizek odzież, papiery i brezentowy woreczek, w którym trzymałem złoto, a następnie poszedłem do majstra, któremu przekazałem pieniądze na dniówki dla robotników i klucze do magazynu. Poganiacz mułów zaoferował się towarzyszyć mi na stację kolejową. Przez wiele godzin jechaliśmy nocą na mułach, mając derki kastylijskie za jedyną osłonę przed gęstą niską mgłą i podążając powoli przez niekończące się pustkowia, i tylko instynkt mojego przewodnika gwarantował, że dotrzemy na miejsce, bo nie mieliśmy żadnego punktu odniesienia. Noc była jasna i gwiazdzista; czułem, jak chłód przenika mnie do szpiku kości, jak sztywnieją mi od niego ręce i jak wciska się do samej duszy. Myślałem o Rosie i z irracjonalną zapalczywością pragnąłem, by wiadomość o jej śmierci nie była prawdziwa, błagałem rozpaczliwie niebiosy, by okazała się pomyłką lub by siła mojej miłości przywróciła jej życie i by wstała jak Łazarz z łoża śmierci. Płakałem w głębi duszy, pogrążony w żalu i nocnym chłodzie, przeklinając muła za to, że idzie tak wolno, Férulę za to, że zwiastuje nieszczęścia, Rosę, że umarła, i Pana Boga, że do tego dopuścił, aż zaczęło jaśnieć na widnokręgu; ujrzałem, jak znikają gwiazdy i wschodzą pierwsze barwy brzasku, farbując krajobraz Północy na czerwono i pomarańczowo, i wraz ze światłem dziennym odzyskałem odrobinę rozsądku. Zacząłem godzić się z nieszczęściem i prosić już nie o to, by zmartwychwstała, lecz jedynie bym zdążył przyjechać na czas i mógł ją ujrzeć, nim zostanie pochowana. Przyspieszyliśmy kroku i w godzinę później poganiacz pożegnał się ze mną na maleńkiej stacji kolei wąskotorowej, łączącej świat cywilizowany z pustynią, na której spędziłem dwa lata.

Podróżowałem ponad trzydzieści godzin, nie zatrzymując się nawet na posiłek i zapominając o pragnieniu, i zdążyłem na pogrzeb.

Podobno wszedłem do domu rodziny del Valle zakurzony, bez kapelusza, brudny i zarośnięty, spragniony i wściekły, krzycząc i pytając o narzeczoną. Mała Clara, która była wówczas jeszcze chudą i brzydką dziewczynką, wyszła na moje spotkanie na patio, wzięła mnie za rękę i w milczeniu zaprowadziła do jadalni. Rosa leżała tam w białej trumnie pośród falban z białej satyny i choć minęły trzy dni od chwili zgonu, nie było tego po niej widać; stała się tysiąc razy piękniejsza od tej, którą zapamiętałem, bo po śmierci zamieniła się niepostrzeżenie w syrenę, którą zawsze była potajemnie.

– Niech będzie przeklęta! Wymknęła mi się!

Podobno tak mówiłem, krzyczałem, padając obok niej na kolana, czym wywołałem zgorszenie wśród krewnych nieboszczki, bo nikt nie mógł zrozumieć mojej frustracji – a przecież spędziłem dwa lata na rozdrapywaniu ziemi po to tylko, by pewnego dnia, gdy stanę się człowiekiem bogatym, zawieść tę dziewczynę do ołtarza. Jej śmierć sprzątnęła mi to wszystko sprzed nosa.

W chwilę później przyjechała karoca – ogromna, czarna i lśniąca, zaprzężona, jak to było wówczas w zwyczaju, w cztery rumaki z czubami i powożona przez dwóch woźniców w liberii. Wyjechała z domu koło trzeciej po południu, pośród mżawki, a za nią podążała procesja powozów wiozących krewnych, przyjaciół i wieńce. Zgodnie ze zwyczajem kobiety i dzieci nie brały udziału w pogrzebach, które uważano za rzecz męską, ale Clara w ostatniej chwili zdołała wkręcić się do orszaku i towarzyszyła swej siostrze Rosie. Czułem jej rączkę w rękawiczce, mocno trzymającą się mojej dłoni, i przez całą drogę miałem ją u mego boku – mały cichy cień, który wzbudzał w mojej duszy nieznaną dotąd tkliwość. Wtedy ja również nie zdałem sobie sprawy z tego, że Clara nie powiedziała od dwóch dni ani słowa – dopiero po upływie trzech kolejnych dni jej milczenie zaalarmowało rodzinę.

Severo del Valle i jego starsi synowie ponieśli na noszach białą trumnę ze srebrnymi nitami i sami złożyli ją do wnęki w grobowcu. Szli w żałobnym nastroju, milczący, nie roniąc łez, zgodnie z zasadami obowiązującymi w kraju, w którym ludzie zwykli znosić ból

z godnością. Gdy zamknięto kraty grobowca, a przyjaciele i grabarze odeszli, zostałem sam między kwiatami, których nie dosięgły kły Barrabása i które towarzyszyły Rosie w drodze na cmentarz. Z tańczącymi na wietrze połami surduta, wysoki i chudy – bo taki byłem, nim dokonana się klątwa Férule, i zacząłem maleć – musiałem wyglądać jak jakiś ptak zimowy. Niebo było szare i zapowiadało się na deszcz, przypuszczam, że było zimno, ale chyba go nie czułem, bo zżerała mnie złość. Nie mogłem oderwać wzroku od małego marmurowego prostokąta, na którym wysokimi gotyckimi literami wryto imię pięknej Rosy, i od dat określających czas jej krótkiego pobytu na tym padole. Myślałem o tym, że straciłem dwa lata, marząc o Rosie, pracując dla Rosy, pisując do Rosy, pragnąc Rosy, i że w końcu nie spotka mnie nawet ta pociecha, że po śmierci spoczęłbym u jej boku. Rozmyślałem o latach życia, które mi pozostały, i doszedłem do wniosku, że bez niej nie warto żyć, ponieważ nigdy w całym wszechświecie nie znajdę kobiety o zielonych włosach i morskiej urodzie. Gdyby mi wtedy powiedziano, że przeżyję z górą dziewięćdziesiąt lat, strzeliłbym sobie w łeb.

Nie dosłyszałem kroków stróża cmentarnego, który zaszedł mnie od tyłu. Dlatego byłem zaskoczony, gdy dotknął mojego ramienia.

– Jak śmiesz mnie dotykać? – ryknąłem.

Biedak cofnął się przestraszony. Parę smutnych kropel deszczu spadło na kwiaty umarłych.

– Przepraszam, ale jest szósta i muszę zamknąć cmentarz. – Tak chyba mi odpowiedział.

Usiłował mi wytłumaczyć, że regulamin zakazuje osobom nie należącym do personelu przebywania na cmentarzu po zachodzie słońca, ale nie pozwoliłem mu dokończyć, wcisnąłem parę banknotów i odepchnąłem, by sobie poszedł i zostawił mnie w spokoju. Widziałem, jak odchodzi, oglądając się przez ramię. Pewnie pomyślał, że jestem szaleńcem, jednym z tych obłąkanych nekrofilów, którzy od czasu do czasu włączają się po cmentarzach.

Była to długa noc, może najdłuższa w moim życiu. Spędziłem ją, siedząc przy grobie Rosy, rozmawiając z nią, towarzysząc jej na



pierwszym etapie podróży w zaświaty, gdy jest najtrudniej oderwać się od ziemi i potrzeba miłości tych, którzy pozostają żywi, aby można było odejść co najmniej w pociesze, że posiada się coś w cudzym sercu. Przypominałem sobie jej idealnie piękną twarz i przeklinałem swój los. Wypomniałem Rosie te lata, które spędziłem pod ziemią, marząc o niej. Nie powiedziałem jej, że przez ten cały czas nie widziałem żadnych innych kobiet poza paroma nędznymi, podstarzałymi i zużytymi prostytutkami, które obsługiwały cały obóz, zresztą raczej z życzliwości niż z profesjonalnego powołania. Powiedziałem natomiast, że żyłem między ludźmi nieokrzesanymi i samowolnymi, jadając groch i pijąc zieloną wodę, z dala od cywilizacji, myśląc o niej dzień i noc, nosząc w sercu jej wizerunek jak sztandar, który dodawał mi siłę, dzięki czemu ryłem nadal ziemię, nawet wtedy, gdy gubiłem ślad żyły, chorując na żołądek przez większą część roku, trzęsąc się z zimna w nocy i doznając z gorącą halucynacji w dzień, wszystko tylko po to, żeby się z nią ożenić, a tymczasem ona odeszła, umarła zdradziecko, nim mogłem urzeczywistnić moje marzenia, i pozostawiła mnie w stanie nieuleczalnej rozpacz. Powiedziałem, że zakpiła sobie ze mnie, wypomniałem, że nigdy nie byliśmy zupełnie sami, że tylko raz mogłem ją pocałować. Musiałem tkać miłość ze wspomnień i naglających, ale niezaspokojonych pragnień, spóźnionych i wyblakłych listów, które nie mogły wyrazić namiętności moich uczuć ani bólu spowodowanego jej nieobecnością, bo nie mam talentu w dziedzinie twórczości epistolarnej, a już tym bardziej nie potrafię pisać o własnych emocjach. Powiedziałem, że lata spędzone w kopalni były czasem nieodwracalnie straconym, że gdybym wiedział, iż pozostanie tak krótko na tym świecie, to ukradłbym pieniądze, które były potrzebne, by się z nią ożenić, i zbudowałbym za nie pałac ozdobiony skarbami z dna morza: koralami, perłami, masą perłową, do którego ona zostałaby uprowadzona, a dostęp miałbym tylko ja. Kochałbym ją nieprzerwanie i niemal w nieskończoność, bo jestem pewien, że gdyby była ze mną, nie wypiłaby trucizny przeznaczanej dla ojca i żyłaby tysiąc lat. Mówiłem o pieszczotach, jakie miałem dla niej zarezerwowane, podarunkach, którymi chciałem

sprawić jej niespodziankę, o tym, w jaki sposób rozkochałbym ją w sobie i uczynił szczęśliwą. W sumie więc powiedziałem jej wszystkie szalone słowa, których nigdy nie wypowiedziałbym, gdyby mogła mnie usłyszeć, i których nie usłyszała ode mnie żadna kobieta.

Tej nocy wydawało mi się, że straciłem na zawsze zdolność kochania, że nigdy więcej nie będę mógł się śmiać ani żywić złudzeń. Lecz nigdy więcej to bardzo długo. Mogłem przekonać się o tym w ciągu mojego długiego życia.

Odnosiłem wrażenie, że wściekłość narasta we mnie jak złośliwy nowotwór, kalając najlepsze godziny mojego istnienia, i że przestaję być zdolny do okazywania czułości lub łaski. Lecz uczuciem najsilniejszym – silniejszym niż konfuzja i złość, które, jak pamiętam, trawiły mnie tej nocy – było niespełnione pożądanie, ponieważ nigdy już nie miało spełnić się gorące pragnienie, by moje dłonie mogły gładzić ciało Rosy, przenikać jego tajemnice, rozpuszczać zielone źródło włosów i pogrążyć się w jego najgłębszych wodach. Przywołałem desperacko jej ostatni obraz, leżącej wśród satynowych falban w dziewiczej trumnie, w narzeczeńskiej koronie z kwiatów pomarańczy i z różańcem między palcami. Nie wiedziałem, że taką samą, z kwiatami pomarańczy i różańcem, ujrzę ją przelotnie raz jeszcze, wiele lat później. Wraz z pierwszym brzaskiem dnia wrócił stróż. Musiał czuć litość do tego na wpół zamrożonego szaleńca, który spędził noc wśród sinych cmentarnych zjaw. Podał mi manierkę.

– Gorąca herbata, proszę pana. Proszę się napić – rzekł.

Odepchnąłem go jednak i złorzeczając z wściekłości, odszedłem długim krokiem ścieżką między grobami i cyprysami.

Tej nocy, kiedy doktor Cuevas i jego asystent wypatroszyli zwłoki Rosy w kuchni, szukając przyczyny jej śmierci, Clara leżała w łóżku z otwartymi oczyma, drżąc w ciemnościach. Miała straszne poczucie, że siostra umarła dlatego, iż ona to przepowiedziała. Mniemała, że tak jak siła jej umysłu może poruszyć solniczkę, potrafi również spowodować śmierć, trzęsienie ziemi i inne wielkie nieszczęścia.

Na próżno matka tłumaczyła jej, że nie może wywoływać zdarzeń, a jedynie widzieć je z pewnym wyprzedzeniem. Była bardzo smutna i czuła się winna, i przyszło jej na myśl, że gdyby mogła być z Rosą, czułaby się lepiej. Wstała i bosy, w samej koszuli, udała się do sypialni, którą dzieliła ze starszą siostrą, lecz nie zastała jej w łóżku, gdzie widziała ją po raz ostatni. Wszędzie było ciemno i panowała cisza. Matka spała odurzona narkotykiem, który zaaplikował jej doktor Cuevas, a rodzeństwo i służba rozeszli się wcześniej do swoich pokoi. Obeszła salony, prześlizgując się pod ścianami przestraszona i zziębnięta. Wiało grozą od ciężkich mebli, grubych udrapowanych kotar, obrazów wiszących na ścianach, tapet w kwiaty na szarym tle, zgaszonych lamp pod sufitami i paproci na fajansowych kolumnach. Zauważyła, że przez szparę pod drzwiami prowadzącymi do salonu przeciska się światło i miała zamiar tam wejść, ale przestraszyła się, że spotka ojca, który każe jej wrócić do łóżka. Skierowała się więc do kuchni, mając nadzieję, że znajdzie pocieszenie na piersi Nany. Przeszła przez główne patio, między kameliami i karłowatymi drzewami pomarańczowymi, przez salony w drugiej części domu i ciemne otwarte korytarze, w których blade świeciły gazowe latarnie, palące się przez całą noc, aby ułatwić ucieczkę w razie trzęsienia ziemi i odstraszać nietoperze oraz nocne owady, i dotarła na trzecie patio, gdzie znajdowały się pomieszczenia służbowe i kuchnie. Dom ztracał tam pański wygląd i zaczynał się nieład psiarni, kurników i pokojów służby. Dalej znajdowała się stajnia, w której trzymano stare konie, używane jeszcze przez Niveę, chociaż Severo del Valle jako jeden z pierwszych kupił samochód. Drzwi i okiennice kuchni i izby kredensowej były zamknięte. Instynkt ostrzegł Clare, że dzieje się tam coś nienormalnego; usiłowała zajrzeć przez okno, lecz nie sięgnęła nosem parapetu, więc musiała przyciągnąć pod ścianę skrzynię, na którą się wspięła; teraz mogła zajrzeć przez szparę między okiennicą a ramą okienną, wypaczoną z wilgoci i ze starości. Ujrzała wewnątrz kuchni.

Doktor Cuevas – to dobroduszne i łagodne chłopisko z szerokim podbródkiem i obfitym brzuchem, które pomogło jej przyjść na

świat i czuwało nad nią podczas wszystkich lekkich dziecięcych chorób oraz ataków astmy – zamienił się w grubego paskudnego wampira z ilustracji w książkach wuja Marcosa. Pochylał się nad stołem, na którym Nana przygotowywała posiłki. Miał u swego boku nieznanego młodzieńca, bladego jak księżyc, w koszuli poplamionej krwią i z oczyma pełnymi nieprzytomnej miłości. Ujrzała niezwykle białe nogi i gołe stopy siostry. Zaczęła drżeć. W tej samej chwili doktor Cuevas odsunął się i mogła zobaczyć przerażające widowisko: Rosę leżącą na marmurowym stole, głęboko rozciętą z góry na dół, a obok niej, w półmisku na sałatę, jelita. Rosa miała głowę odwróconą ku oknu, przez które zaglądała Clara; jej bardzo długie zielone włosy spływały jak paproć ze stołu na płytki podłogowe, poplamione na czerwono. Miała zamknięte oczy, lecz pod wpływem cieni, odległości lub wyobraźni dziewczynce wydawało się, że dostrzega w nich błaganie i poniżenie.

Clara, stojąc nieruchomo na skrzyni, nie mogła do końca odebrać wzroku od tej sceny. Była tam, podglądając przez szparę i nie zdając sobie sprawy, że coraz bardziej ziębnie, aż wreszcie dwaj mężczyźni zakończyli wypróżnianie ciała Rosy, wstrzyknęli jej płyn do żył i umyli wewnątrz i na zewnątrz aromatycznym octem i esencją z lawendy. Była, gdy nadziewali ją plasterm i zszywali krzywą igłą używaną przez tapicerów. Była, gdy doktor Cuevas mył ręce w zlewozmywaku i ścierał łzy z twarzy, a jego pomocnik zmywał krew i zbierał trzewia. Była, gdy lekarz, wychodząc, narzucił na siebie czarny surdut ruchem, który wyrażał śmiertelny smutek. Była, gdy nieznanomy młody człowiek ucałował Rosę w usta, szyję, piersi i między nogami, umył ją gąbką, założył jej haftowaną koszulę i uczesał włosy, sapiąc przy tym przez cały czas. Była, gdy przyszli Nana i doktor Cuevas i ubrali ją w biały strój i nałożyli na jej głowę koronę z kwiatów pomarańczy, którą przechowywała zawiniętą w bibułkę, bo miała ją włożyć w dzień zaślubin. Była, gdy asystent doktora uniósł ją w ramionach z taką samą wzruszającą czułością, z jaką prznosiłby ją po raz pierwszy przez próg domu, gdyby go poślubiła. Była tam, nie ruszając się z miejsca, dopóki nie zaczęło

świtać. Wtedy udała się do łóżka, czując wewnątrz całą ciszę świata. Milczenie wypełniło ją całkowicie i przemówiła dopiero dziewięć lat później, gdy oświadczyła, że wychodzi za mąż.

JEDNA Z NAJPIĘKNIEJSZYCH  
HISTORII O MIŁOŚCI.  
JEDNA Z NAJPIĘKNIEJSZYCH  
HISTORII RODZINNYCH.

Pełna ciepła opowieść o rodzinie gwałtownego Estebana Trueby i o pokoleniach kobiet, które go otaczały: siostrze Feruli, której miłość potrafiła zadusić, żonie Clarze, dla której kontakt z duchami był szarą rzeczywistością, córce Blance, która głęboko pokochała najmniej odpowiednią osobę, a także o tragicznie zmarłej Rosie, której niewinności świat nie mógł znieść i wnuczce Albie, która stała się kronikarką rodziny. Ich losy spleatają się z wielką historią narodu na skraju przepaści i są świadectwem dramatycznych i krwawych przemian społecznych i politycznych.

Isabel Allende tworzy misterną sieć zależności między do bólu ludzkimi postaciami, wydobywa z nich skrywane uczucia, wystawia na próbę łączące ich więzi.

Saga, stanowiąca triumf realizmu magicznego.

Powieść sfilmował w 1993 roku Bille August, a wśród odtwórców głównych ról znaleźli się Jeremy Irons, Meryl Streep, Glenn Close Winona Ryder i Antonio Banderas.

Pisarski debiut Isabel Allende przyniósł jej tytuł jednej z najważniejszych i najbardziej utalentowanych pisarek iberoamerykańskich XX wieku.

**KUP TERAZ!**

cena 44,90 zł

PAŃSTWOTYTYTUŁ

BOOKLIPS.PL IIII

w sprzedaży także

